I Miejska i Wojewódzka Biblioteka Publiczna
Czytelnia dla dorosłych
Nr ..... dn. ..... 19..... r.

W numerze: Leon Kruczkowski o Ministerstwie Kultury i Sztuki

Cena 10 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 26 lutego 1947 r. Nr 8 (77)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„STRZEC TRADYCJI – NIE ZNACZY TO BYNAJMNIEJ OGRANICZAĆ SIĘ TRADYCJĄ"

Lenin

TREŚĆ NUMERU:

MIECZYSŁAW JASTRUN — **SEZON W ALPACH**

ADAM SCHAFF — **HUMANIZM SOCJALISTYCZNY (II)**

KAZIMIERZ BRANDYS — **ROZMAITOŚCI**

ANDRZEJ STAWAR — **TADEUSZ ŻELEŃSKI — BOY (VI)**

KAROL WIKTOR ZAWODZIŃSKI — **KOBIETA WYZWOLONA W POWIEŚCI KRASZEWSKIEGO**

ŻANNA KORMANOWA — **PAUL LANGEVIN NIE ŻYJE**

LEON KRUCZKOWSKI — **ODPOWIEDŹ ROZMÓWCOM „KUŹNICY"**

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **REPLIKA**

RYSZARD MATUSZEWSKI — **O KSIĄŻCE OSMAŃCZYKA**

JAN SZCZEPAŃSKI — **W TROSCE O PRZYSZŁOŚĆ POLSKI**

JULIUSZ ŻUŁAWSKI — **HOMER I ORCHIDEJA W TEATRZE KAMERALNYM**

KANDYD — **TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK**

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

MIECZYSŁAW JASTRUN

SEZON W ALPACH

W kominku czarne trzaskało polano,
Zmierzch coraz stromiej opadał. Patrzałem
W płomień tak jasny, jak gdyby w nim płonął
Los żywych lasów. Suche szczapy ognia
Syczały, blaskiem strzelały, sklepieniu
Z pali sosnowych przydając cień, okna
Stawiając nagle w podwójnym widzeniu.

Śnieg sypał. Armia dziecinna Zbawienia
Na spadochronach białych lądowała
W płaszczach rozpiętych i topniała szemrząc
Na gładkich wodach jeziora, bez lśnienia
Znieruchomiałych w ciemności jak skała.
I była obcość gór, dzikość pustyni
Co przypomina się jeszcze najeźdźcom
Nagłym jak bomba wybuchem lawiny,
Nocami, które kiedy się rozgwieżdżą,
Wzrok mają zimny obcego plemienia.

Śnieżyca — w płaszczu zatrzymuje czas.
I w tym jest rozkosz patrzenia głęboka.
Jakiż być może inny pocałunek,
Który przyjmuje i oddaje głaz
Alpejskiej skały. Góry w głębi oka
Pozostawiły już tylko rysunek
Mglisty. U nóg miasteczka, które wchodzą
W jezioro, w barwach spłowiałych, na zbocza
W zieleniach cichych.
Wszystko, co tutaj zamyka się w oczach
Z rozrzutnej pychy,
To dzwon powtarza w dźwiękach, co się rodzą
Jak nocny wicher.

Wstanę, zagaszę nagle elektryczność,
Na śnieżną spojrzę, na przebytą drogę.
Tu, gdzie się tylko dokonania liczą,
Niewielem zdziałał, lecz więcej nie mogę.
Tu, gdzie się tylko dokonania liczą,
Com czynił, czyniąc wolno i niewiele?

W ewangelickim dzwoniono kościele,
Młoda Angielka w lustrze barwi usta,
Poczernia rzęsy, do zębów się śmieje
Białych i zbliża swój oddech do lustra.

Jesteśmy tutaj przez chwilę, przez chwilę,
Przez tak znikomą chwilę, że przestrzenie
Nie mają czasu zanotować śladów
Naszych nóg w skale, w powietrzu i w pyle,
że w ziemię nasze powracają cienie
I w noc, noc pełną świecących owadów.
Jesteśmy tutaj, a gdy odchodzimy
Czarna się burza skargi nie podnosi
Z jezior owitych w powietrze i w dymy
Mgieł, gdy miastami rojąc się krążymy
Z ziemią wokoło jej i własnej osi.

Nie ma większego bólu niż wspomnienie
Poniechanego przez nas szczęścia, które
Jest jak tych szczytów skamieniały lot;
Groza zastyga w granitową górę,
Nawet na słońce śniegu rzuca cień jej
Jungfrau okryta w fioletową chmurę,
Matterhorn w ziemię zaryty jak młot
Nocy kamiennej.

Mgła, która tutaj pochłania gór szczyty,
Na dni, na długie tygodnie pożera,
Czyż nie jest jak niepamięć moja? Cóż ja
Pamiętam? Dawno zwiądł twój złoty lok,
Twarz twoją szorstkie odbiły granity,
I tylko cień mój ma krok Gulliwera
Ponad przepaścią z jeziora błękitu,
Gdzie miasta świateł nakłuwają mrok.

Już nie otworzy się umarła muszla,
Darmo kamienie o kamienie trę
W kamiennym kraju, skąd jak dusza uszła
Ziemia, w kamiennym kraju, gdzie ta muszla
Ma imię miasta w cieniu gór — Montreux.

Ale to nie jest ważne, co się dzieje
W pamięci naszej, a jeśli — to tyle,
że dosyć, kiedy w przeszłość jak w nadzieję
Wbrew przyciąganiu ziemi twarz nachylę.
Tak pasterz źródła wargami dotyka.

Był zmierzch. Ze ścieżki bił zapach świerkowy,
Kolory dogasały w zagajnikach.
Miasteczko przyrośnięte do góry, co czerń
I zieleń dawno już wytarła na granitach,
I dworzec jak pudełko, które się odmyka
Gdy nadjeżdża wspinając się funiculaire.

Chmura za oknem już się układała do snu
W zmierzchu zimowym, kiedy zapalano światła,
Przy których góry w ciemność zapadły i w gwiazdy.
Sezon śnieżny sprowadził tu parę miłosną,
W hotelu rozścielano białe prześcieradła,
Gdy w górze zmierzch obciągał swetr, gotów do zjazdu.

Leman oblewał stopy kamienne Chillonu.
Mówiono o Byronie z obojętną twarzą.
Gwar ludzi, płacz jeziora i skarga nieszczera
Łka w tej godzinie później w czarnych falach dzwonu.
Zasypiają, lecz jeszcze przed snem głośno marzą;
Ich szept zmienia obrazy, cichsze o pół tonu
Od jawy, szybkie, nagłe jak ruchy fryzjera.

Sen ich, ciałem ogrzany, płomieniem wybujał
Wyżej niż ogród, splątał ich słownik miłosny.
Jak porwana wiatrem czarna tuja
Były jej włosy,
Mówił jeszcze szelest
Jej sukni,
Gdy odeszła
Uciszając głosy
Rozmawiających. Wtem noc zamierzchła
W kamienną nawę w górskim kościele —
W miejscu po tui, co rozwiała czerń swych pukli.

Lecz oni — umieszczeni tak dobrze w epoce,
Tkwiący w niej z paszportami, z głowami bez twarzy,
Każdy jak ptak, co innym odcieniem świergoce,
Łacińska słodycz łączy ich, w pary kojarzy,
Czuli na dzwonki telefonów jak na miłość,
Połączeni ze światem sieciami przewodów
Elektrycznych, jakby w nich jedno serce biło
I nie było już gniewu dziesięciu narodów
Niesprawiedliwych! Oto składają swe troski,
żale swe i choroby pod Alp sklepieniami,
Spowiadają się z cienia swego pinii włoskiej,
Jak komunię łykają pastylki witamin.

Brzydota ich, ta rozpacz rozbitej materii,
Jak ujrzał ją Picasso w bezlitosnej pasji
I rozstrzelił im oczy w krajobraz Owernii
Jakby się nad ostatnim strzępem wieku pastwił!

Piękno, co zestarzało się, boli jak kłamstwo.
Wrogi jest kamień, chwyta, gdy odrywasz stopy
Nie wiedząc czy odrywasz je od bliskich chmur,
Wrogi jest tu na szczytach starej Europy
Pozór piękności w chmurach jak Ariela państwo.
Cezar idąc przez Alpy czuł nudę tych gór.

Granity skłębione w walce, zastygłe w przesadnym wyrazie
Jak grupa gigantów w rzeźbie hellenistycznej
Noszą już tylko ślady zakrzepłe minionej rozpaczy.
Powinna panować tu cisza,
Ale ból życia, jałowy jak zbocza tych skał, zaczyna się
tam gdzie kończy się walka.

Gdy grzbiety Alp od zorzy różowieją
Porannej, widok ten przenosi góry —
Jezioro, misa z popiołami chmury,
Gniewa się na przesadną grę, w której lazury
Zdradzają szorstkość skały z orchideją.

Świt w każdej kropli wody powtarzany płynie,
Twardość kamienia, miękkość jedwabiu odbija,
Wydobywa z ciemności cyprysy i pinie,
Ustawia je na nowo przy Sancta Maria.

Dzień się przedzierał wolno, sączył pianę
Przez szyby, śnieg przetarty był i suchy.
Śniadanie podawano w sali szklanej.

Ta cudzoziemka blada, ta dziewczyna
Obcość zdradzając każdym swoim ruchem
Być może teraz ranek przypomina,
Kiedy otwarła się obozu brama
Przed nią. I nagle poczuła się sama.
Ciało jej było pokryte wrzodami,
Nogi jej puchły i twarz jej obrzmiała,
I tylko oczy, gdy mówiła z nami,
Zostały niezmącone nędzą ciała.
Młoda, a już jak mater dolorosa,
Załamywała ramiona z kamienia.
Jakiś Włoch nazwał ją donna pietrosa,
Zapożyczając dźwięk tego imienia
Z wierszy Dantego, które są z kamienia.

Wstydliwość uczuć mówić zbyt głośno zabrania,
Ta młoda Polka nigdy nie wróci z wygnania.
Na pierś jej się położy granitowy szczyt,
Lód alpejskiej pustyni zetnie krew jej ciała,
W horyzontalnej będzie pozycji leżała
Obojętna i niema wśród sczerniałych płyt.

I znowu będzie w górach padał śnieg niebieski
I domki w śniegu będą jak karty kabały.
Nie pojedziemy do Wenecji i Werony.
Przy stoliku rozwodził się kupiec wenecki
O transporcie owoców i o wojnie greckiej,
Hindus jak bożek w mrocznym drzewie wyrzeźbiony
Milczał i jego wargi blade lekko drżały.

Mont Blanc, królowa wróżek skalnych, kiedy skinie
Korzy się sto nawałnic u jej nóg, sto kaskad
Czesze włosy błękitne na jej czole białym.

Jak dziejopisy ziemi zapisują skały
Historię tysiącleci w księdze o zatrzaskach
Z kamienia, co tkwi w morzu wieków jak w godzinie.

Te góry są wrzodami ziemi kamiennymi,
Ropieją wieczną bielą, guzy na ich kaskach
Wzbierają krwią zepsutą, co w ich czaszkach dymi.

Shelley samotny śpiewał ciszę tej pustyni
Granitów, biciem serca wywołując szczyt,
Który do gwiazd podnosił i do samotności.
Ja uciekam do ludzi z tej wielkiej ciemności,
Której mi nie rozjaśni żaden ziemski świt.

Białego zwierza z lodu, z kamienia i śniegu
Ujarzmił człowiek, łańcuch zacisnął na gardle
Zębatych szyn, przepaście od brzegu do brzegu
Zmierzył, i broniącego się jeszcze zajadle
Lawiną, nawałnicą pustynnych obszarów
Powalił do nóg swoich, żelazem przewiercił,
Rozpiął na wieżach ciśnień, na mapach pomiarów,
Lodowym szczytom wydarł głuche bicie serc ich.

I kiedy dzisiaj słucham ciebie, kraju martwy,
Nie słyszę samotności świata w twoim szumie,
Lecz słyszę własne słowa, które w kłamrach tłumię,
Słyszę strumień swój w tobie o strumieniu Arwy!

ADAM SCHAFF

HUMANIZM SOCJALISTYCZNY (II)

HUMANIZM WSPÓŁCZESNY — SOCJALIZM NAUKOWY

Zwycięstwo burżuazji stworzyło podstawę dla nowego, współczesnego humanizmu. Bezsprzeczny postęp, jakim było zwycięstwo zasady formalnego równouprawnienia wszystkich obywateli i formalnych praw wolnościowych nie tylko nie zakończył walki, ale w pewnym sensie nawet ją zaostrzył. Stworzone bowiem zostały nowe, szersze możliwości dla jej prowadzenia; postęp kapitalistycznego systemu produkcji sam wnosił organizację i świadomość w szeregi walczących mas pracujących. A walczyć było o co. Cóż bowiem znaczyły formalne prawa wolnościowe, gdy panujący system uniemożliwiał realne ich urzeczywistnienie? Cóż znaczyła formalna wolność prasy z monopolem prasowym w ręku Hearsta i in.? Cóż znaczyła wolność sumienia z monopolem wychowania, radia, teatru itd. w ręku klas panujących? Cóż znaczyła wolność zgromadzeń i stowarzyszeń z monopolem władzy w ręku klas posiadających, które mogły prawo to znieść, gdy im było niewygodne? Cóż znaczyła wolność parlametarna, gdy powszechne wybory służyły do wyboru tego lub innego przedstawiciela klas posiadających? Ustrój kapitalistyczny nie tylko nie zniósł ucisku i wyzysku, nie tylko nie zrealizował ideałów „Wolności, Równości i Braterstwa", które głosiła walcząca burżuazja, ale przyczynił się do jaśniejszego, niezamaskowanego wystąpienia tych ograniczeń praw jednostki, które w poprzednim okresie upiększała patyna tradycji i zwyczaju.

„Burżuazja, — czytamy w „Manifeście Komunistycznym" — tam gdzie doszła do władzy, zburzyła wszystkie feudalne, patriarchalne, idylliczne stosunki. Pozrywała bezlitośnie wielorakie węzły feudalne, które przywiązywały człowieka do jego „naturalnego zwierzchnika" i nie pozostawiła między ludźmi żadnego innego węzła prócz nagiego interesu, prócz wyzutej z wszelkiego sentymentu „zapłaty gotówką". Świątobliwe porywy zbożnego marzycielstwa, rycerskiego zapału, mieszczańskiego sentymentalizmu zatopiła w lodowatej wodzie egoistycznego wyrachowania. Godność osobistą zamieniła w wartość wymienną, a na miejsce niezliczonych, uwierzytelnionych dokumentami, uczciwie uzyskanych wolności, postawiła **jedyną, pozbawioną wszelkich skrupułów wolność handlu. Słowem, na miejsce wyzysku, osłoniętego złudzeniami religijnymi i politycznymi postawiła wyzysk jawny, bezwstydny, bezpośrednio nagi".***)

Klasy uciśnione nie mogły nie widzieć tej instytucji społecznej, która stanęła na ich drodze ku ideałowi szczęścia osobistego — własności prywatnej. Jej brak powoduje głód i nędzę, jej posiadanie daje tę władzę, która przekształca robotnika w niewolnika kapitału, ograniczając wyraźnie jego wolność osobistą; jej działanie wywołuje te wszystkie komplikacje gospodarcze, które robotnik odczuwa bezpośrednio na swej skórze — kryzysy i bezrobocie; bogactwo i nędza — oto dla wyzyskiwanych zewnętrzna forma własności prywatnej, tej siły, która staje się hamulcem rozwoju jednostki, jej awansu społecznego, staje na drodze do jej szczęścia osobistego. Następny krok prowadzi do zrozumienia, że walka o szczęście osobiste jednostki prowadzi przez walkę o zniesienie własności prywatnej. Zrozumienie tej prawdy stało się podstawą nowoczesnego socjalizmu, aczkolwiek na pierwszym etapie swego rozwoju, ze względu na fałszywą koncepcję rozwoju społecznego i niezrozumienie dróg, prowadzących do realizacji wytkniętego celu, charakter jego jest utopijny.

Cel, do którego dąży socjalizm — lapidarnie charakteryzując zagadnienie — to zniesienie własności prywatnej środków produkcji. Rozwiązanie wszystkich innych zagadnień społecznych, politycznych i ekonomicznych jest prostą konsekwencją rozwiązania tego problemu zasadniczego. Marksizm stoi na stanowisku, że uspołecznienie środków produkcji prowadzi nie tylko do rozwiązania konfliktów gospodarczych, społecznych i politycznych, które trawią ustrój kapitalistyczny, ale również do pozytywnego rozwiązania postulatów humanizmu.

„W społeczeństwie burżuazyjnym praca żywa — czytamy w „Manifeście" — jest tylko środkiem do pomnażania pracy nagromadzonej. W społeczeństwie komunistycznym praca nagromadzona jest tylko środkiem do rozszerzania, bogacenia, polepszenia procesu życiowego robotników".

„W społeczeństwie burżuazyjnym przeszłość panuje zatem nad teraźniejszością, w społeczeństwie komunistycznym — teraźniejszość nad przeszłością. W społeczeństwie burżuazyjnym kapitał posiada samodzielność i indywidualność, podczas gdy pracująca jednostka jest pozbawiona samodzielności i indywidualności".

„I zniesienie tego oto stosunku burżuazja nazywa zniesieniem indywidualności i wolności. I słusznie. Tylko, że chodzi tu o zniesienie burżuazyjnej indywidualności, burżuazyjnej samodzielności i burżuazyjnej wolności".*)

Linia rozumowania socjalizmu jest prosta i wyrazista. By jednostka mogła być naprawdę wolna, miała otwartą drogę do awansu społecznego i rozkwitu swej indywidualności, należy usunąć hamujące ją pęta własności prywatnej. Z teorii marksizmu wypływa uzasadnienie tej tezy i wypracowanie dróg jej realizacji.

Socjalizm utopijny dążył do tego samego celu, ale inną drogą. Podobnie jak chrześcijaństwo, wychodząc z idealistycznego poglądu na historię, socjalizm utopijny widział w apelowaniu do Miłości i Sprawiedliwości drogę do realizacji wytyczonego przez się celu. Nie wyciągnął wniosku z faktu historycznego, iż klasy posiadające swój interes identyfikują z interesem społeczeństwa, że nigdy dobrowolnie nie rezygnują z przywileju życia kosztem innych. I dlatego z góry był skazany na zagładę, na pozostanie pięknym wprawdzie, ale nie ziszczalnym **marzeniem.** Podobnie zresztą jak reformatorskie dążenia radykalnego katolicyzmu, które cechuje równie utopijny charakter.

Humanizm burżuazyjny był ograniczony swym klasowym punktem wyjścia. Wyrasta na bazie ustroju prywatnej własności, jest wykwitem zwycięstwa burżuazji. To określa jego charakter. Jego postulaty ogólne noszą charakter formalny, a realne możliwości rozwoju posiada garstka wybrańców — posiadaczy. Choć nawet i ci pozostają niewolnikami żywiołowego anarchicznego charakteru gospodarki prywatno-kapitalistycznej. O rozszerzeniu ram tego humanizmu, o stworzeniu realnych podstaw dla wszechstronnego rozwoju **dla wszystkich** oczywiście nie ma mowy.

Humanizm utopijny stara się usunąć te granice, wznosi się na wyższy poziom walki o prawa i wolność człowieka, wysuwa postulat wszechstronnego rozwoju dla wszystkich, czego podstawą miało być zlikwidowanie własności. Ale i on jest ograniczony, a granicę tę stanowi jego nierealność, jego utopijny charakter. Humanizm utopijny był pięknym postulatem, ale **tylko** postulatem.

Ta przeszkoda zostaje wreszcie usunięta przez socjalizm naukowy, który stawiając sprawę rozwoju społecznego na realnych podstawach, wykrywa jego konieczności i ustala praktyczne drogi wprowadzenia socjalizmu w życie. Z pięknej, ale nie realnej mrzonki, socjalizm staje się naukowo sprawdzalną koniecznością.

Dochodzimy tą drogą do właściwej, węższej definicji humanizmu. **Przez humanizm, właściwy naszej epoce, rozumiemy opartą o realne podstawy ustrojowe dążność do wszestronnego rozwoju każdej jednostki.** Tylko taka dążność jest dążnością do prawdziwego szczęścia jednostki. Ale tym samym zostaje zdystansowany humanizm burżuazyjny, który rezerwując realne możliwości rozwojowe tylko dla uprzywilejowanych ograniczał zakres swych dążności humanistycznych. Zostaje zdystansowany humanizm chrześcijański, który wysuwając postulat szczęścia jednostki, łączył go nie z wszechstronnym rozwojem jednostki w świecie doczesnym, a z propagandą ascezy i wynagrodzenia cnoty w zaświatach pod akompaniament pięknych słów o Miłości i Sprawiedliwości. Zostaje zdystansowany również humanizm utopijny, który nakreślił wprawdzie właściwy cel, ale nie widział dróg jego realizacji. Na placu boju pozostaje **humanizm socjalistyczny,** jako właściwy naszej epoce humanizm sensu stricto.

„Przejęcie środków produkcji przez społeczeństwo — pisze Engels — znosi produkcję towarową i usuwa tym samym panowanie produktu nad producentem. Anarchia w produkcji społecznej ustępuje miejsca planowej, świadomej organizacji. Ustaje walka o byt jednostkowy. Teraz dopiero człowiek wychodzi ostatecznie, w pewnym sensie ze świata zwierzęcego i od zwierzęcych warunków życiowych otaczających ludzi: zespół, który panował dotychczas nad nimi, poddany teraz zostaje panowaniu i kontroli ludzi, którzy po raz pierwszy stają się świadomymi, rzeczywistymi panami przyrody z tej racji i w tej mierze w jakiej stają się panami swego własnego społecznego współżycia. Prawa ich własnej działalności społecznej, które dotychczas przeciwstawiały się im jako obce i panujące nad nimi prawa natury, będą teraz stosowane z całą świadomością rzeczy przez ludzi, a tym samym będą przez nich opanowane. Byt społeczny, który przeciwstawiał się im dotychczas jako coś narzuconego przez przyrodę i historię staje się odtąd ich wolnym czynem. Obiektywne obce potęgi, które panowały dotąd nad historią, poddane zostają kontroli samych ludzi. Odtąd dopiero będą oni sami tworzyli z pełną świadomością własną historię, odtąd dopiero uruchomione przez nich przyczyny społeczne będą przeważnie i w coraz większej mierze powodować skutki przez nich zamierzone. **Jest to skok ludzkości z państwa konieczności w państwo wolności"***).

Humanizm socjalistyczny w naszym rozumieniu, to humanizm marksistowski. Innego humanizmu socjalistycznego nie ma. Ta bowiem postawa humanistyczna, która wiąże się z socjalistycznym celem u zwolenników nienaukowego, utopijnego socjalizmu w przeszłości i u ich epigonów w teraźniejszości nie jest humanizmem socjalistycznym lecz **utopijnym.** Wyższość humanizmu socjalistycznego tkwi więc nie tylko w celu, ale i w realności dróg jego urzeczywistnienia. Na ten realizm składa się i wskazanie konkretnej siły społecznej, powołanej do walki o zwycięstwo socjalizmu — proletariatu. Dążenie do powszechnej wolności i równości, do panowania miłości i sprawiedliwości w stosunkach między ludźmi — drogą, wiodącą poprzez walkę klas oraz podsycanie nienawiści do wroga klasowego — wydaje się sprzecznością. **To jest** sprzeczność, ale jedna z tych płodnych w skutki, obiektywnie występujących sprzeczności, w które obfituje życie społeczne. Proletariat walczy o swoje interesy, **swoje** prawa, ale zrealizować swoją wolność może jedynie wyzwalając całą ludzkość. I to jest jego misją dziejową.

„Wszystkie dawne klasy — głosi „Manifest" — które zdobywały władzę, starały się zabezpieczyć, uzyskane już przez siebie stanowisko życiowe drogą podporządkowania całego społeczeństwa warunkom swego wzbogacenia się. Proletariusze mogą opanować społeczne siły wytwórcze tylko znosząc swój własny dotychczasowy sposób przyswajania, a przez to samo i cały dotychczasowy sposób przywłaszczenia. Proletariusze nie mają nic swojego do zabezpieczenia, muszą natomiast zburzyć wszystko, co dotychczas zabezpieczało i ochraniało własność prywatną".

„Wszelkie ruchy dotychczasowe były ruchami mniejszości lub w interesie mniejszości. Ruch proletariacki jest samodzielnym ruchem olbrzymiej większości w interesie olbrzymiej większości. Proletariat, najniższa warstwa społeczeństwa obecnego, nie może się podnieść, nie może się wyprostować, nie wysadzając w powietrze całej nadbudowy warstw, stanowiących społeczeństwo oficjalne"*).

Jeszcze wyraźniej wypowiada Marks tę myśl o znaczeniu walki klasowej dla wyzwolenia całej ludzkości w swej „Nędzy filozofii":

„Istnienie klasy uciemiężonej jest żywotnym warunkiem każdego społeczeństwa, opartego o antagonizm klas. Wyzwolenie klasy uciemiężonej zawiera w sobie konieczność stworzenia nowego społeczeństwa... Czy znaczy to, że po upadku starego społeczeństwa, nastąpi nowe panowanie klasowe, wyrażające się w nowej władzy politycznej? Nie. Warunkiem wyzwolenia klasy pracującej jest zniesienie wszelkich klas, podobnie jak warunkiem wyzwolenia stanu trzeciego... było zniesienie wszelkich stanów..." (Marks)

Walka proletariatu prowadzi do zwycięstwa najwyższego ideału humanistycznego, do zwycięstwa wolnego zrzeszenia wolnych jednostek.

„Skoro w biegu rozwoju — czytamy w „Manifeście" — znikną różnice klasowe i cała produkcja zostanie skupiona w ręku zrzeszonych jednostek, władza publiczna utraci swój charakter polityczny. Władza polityczna we właściwym tego słowa znaczeniu jest zorganizowaną przemocą jednej klasy celem ucisku innych. Jeśli proletariat jednoczy się w walce z burżuazją siłą rzeczy w klasę, staje się poprzez rewolucję klasą panującą i, jako klasa panująca, znosi przemocą dawne stosunki produkcji, to znosi wraz z tymi stosunkami produkcji warunki istnienia przeciwieństw klasowych — klasy w ogóle i tym samym swoje własne panowanie jako klasy.

Miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowymi zajmuje zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdej jednostki jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich".**)

Socjalizm naukowy i humanizm socjalistyczny — to pojęcie jednoznaczne.

HUMANIZM I „HUMANIZMY"

Na podstawie dotychczasowych wywodów dochodzimy do następującego wniosku: ma sens mówienie o **humaniźmie socjalistycznym,** nie ma natomiast sensu mówienie o **socjaliźmie humanistycznym.**

Humanizm socjalistyczny jest, jak widzieliśmy, najwyższym etapem rozwojowym myśli humanistycznej, jej etapem współczesnym. Możemy śmiało mówić o humaniźmie chrześcijańskim, burżuazyjnym, utopijnym, socjalistycznym, jako o historycznych etapach rozwoju postawy humanistycznej w społeczeństwie ludzkim, podobnie jak mówimy o demokracji burżuazyjnej, ludowej, socjalistycznej. Podobnie też w obu wypadkach kształtuje się nasze wartościowanie tych kolejnych etapów. Wychodząc z konkretno - historycznego punktu widzenia, doceniamy pozytywną, postępową rolę każdej z tych form **w swoim okresie;** zupełnie inaczej natomiast oceniamy ich rolę i znaczenie z punktu widzenia potrzeb dnia dzisiejszego. Kierunek w swoim czasie, w określonych warunkach, najbardziej postępowy, w nowych zmienionych warunkach, przekształca się nieraz w obronę wstecznictwa. Tak było z rewolucyjnym w swoim czasie liberalizmem, dziś ostoją światowej konserwy. Los ten dzielą również wcześniejsze formy humanizmu.

Ocena porównawcza jest zawsze względna. Dotyczy to również oceny postępowego lub wstecznego charakteru postawy humanistycznej. Pojawienie się nowego, wyższego ideału oznacza automatyczne zdegradowanie starego. Nowy socjalistyczny humanizm pozbawił aureoli humanizm stary, mieszczański, tak w jego formie liberalnej jak i utopijnej. Tym bardziej, że poszczególnych form humanizmu nie można porównać do szczebli drabiny historycznego postępu (choć niezawodnie są historycznie takimi szczeblami). Raczej trafne byłoby porównanie do szeregu kół koncentrycznych o zwiększającym się promieniu. Każde nowe koło jest szersze od swych poprzedników, zawiera je w sobie. Taką jest właśnie droga postępu historycznego. Nowe nie jest prostą negacją sta-

*) K. Marks: Dzieła wybr. I, str. 163

*) tamże str. 175

*) F. Engels: Rozwój socjalizmu od utopii do nauki. Dzieła wybr. I. str. 241—242. Podkreślenie nasze A. S.

*) Marks, op. cit. str. 171—172

**) tamże, str. 181—182, podkr. nasze (A. S.)

rego, odrzuceniem, przekreśleniem starych osiągnięć, a ich prześcignięciem z jednoczesnym zachowaniem całego ich dorobku. Nowy humanizm nie odrzucił starych ideałów humanizmu burżuazyjnego (Wolność, Równość i Braterstwo), chrześcijańskiego (Miłość i Sprawiedliwość), utopijnego (nie tylko formalne, ale i realne równouprawnienie) a tylko podciągnął je wzwyż, rozszerzył, postawił na realnym gruncie, zachowując całe ich bogactwo, wszystko to co było w nich pozytywne. Stąd też bierze się fakt, że pojawienie się nowego humanizmu detronizuje poprzedników, czyni ich zbędnymi. Oczywiście i to twierdzenie nie jest absolutne. Mogą zajść wypadki cofnięcia się społecznego, jak np. okres hitleryzmu, gdy wszelka forma humanizmu staje się żywotną, potrzebną i gdy i jej współistnienie obok nowego humanizmu jest obiektywnie uzasadnione. Prócz takich nienormalnych okresów wszakże, nowy humanizm, humanizm socjalistyczny, jako najwyższy etap rozwojowy postawy humanistycznej staje się dla nas **prawdziwym** humanizmem, humanizmem sensu stricto. To mamy na myśli określając naszą postawę jako humanizm **socjalistyczny.**

„Humanizm socjalistyczny" jest więc określeniem sensownym. Bezsensowne jest natomiast określenie" **socjalizm humanistyczny".** Wynikałoby bowiem zeń zupełnie opaczne twierdzenie, że wobec istnienia socjalizmu **humanistycznego** istnieje również jakiś socjalizm **antyhumanistyczny.** Otóż socjalizmu antyhumanistycznego nie było i nie ma; wobec humanistycznej istoty **wszelkiego** socjalizmu (nawet teoretycznie błędnego, utopijnego, anarchistycznego) określenie „socjalizm **antyhumanistyczny"** zawiera ukrytą sprzeczność, contradictio in adiecto, a określenie „socjalizm **humanistyczny"** — pleonazm, w błąd wprowadzający. Socjalizm to jest humanizm; nie ma socjalizmu niehumanistycznego i wobec tego określenie „socjalizm humanistyczny" jest błędne.

Ale przecież nikt tego określenia nie używa, pocóż więc cały ten wywód? Expressis verbis wprawdzie go nie używają, ale jeśli idzie o istotę zagadnienia, o jego treść, jest ono używane coraz częściej.

Jedną z metod walki przeciw maksistowskiemu socjalizmowi, socjalizmowi **naukowemu** stało się oskarżenie go o antyhumanizm. Ostrze innych argumentów zostało już dawno stępione przez praktykę, historia potwierdziła to, co „krytycy" najbardziej marksizmowi wytykali, nowa broń była więc na czasie. Tym bardziej, że jest to broń, jak na to na wstępie wskazaliśmy, w obecnym okresie bardzo ważka.

Oskarżenia o antyhumanizm padają przeciw socjalizmowi w pierwszym rzędzie z szeregów jego przeciwników: burżuazyjnych liberałów, chrześcijańskich demokratów itp. Idzie tu o kwestię rozumienia istoty humanizmu, wolności, równości itd. Oczywiście, dla tych, którzy przez wolność rozumieją wolność handlu i wyzysku, którzy przez równość rozumieją panowanie wielkiego kapitału, a przez braterstwo odrodzenie poglądów antyku o „naturalnym stanie" niewolnictwa, jeśli idzie o ludy kolonialne, humanizm socjalistyczny jest nonsensem i wymysłem (jak to często czytamy na łamach pewnej prasy). Podobnie niegdyś „wyższe sfery" z oburzeniem odrzucały pretensje filozofów Oświecenia na reprezentowanie postępu społeczeństwa ludzkiego, który w ich umysłach nie mógł być czymś sprzecznym z **ich** światem i z **ich** panowaniem. Jest to stara tragedia klas ginących, że nie potrafią przejrzeć obiektywnych praw i konieczności rozwoju. Atak przeciw socjalizmowi, przeprowadzany z tej strony, jest zjawiskiem tak zrozumiałym, że nie wymaga bliższych komentarzy.

O wiele bardziej skomplikowana i brzemienna w skutki jest sprawa ataku przypuszczonego z własnych szeregów. Dywersja wewnętrzna jest zawsze dywersją najgroźniejszą.

Naukowy socjalizm opiera się na fundamencie materializmu dialektycznego i marksistowskiej socjologii — materializmu historycznego. Na tej bazie wznosi się gmach marksistowskiej ekonomii politycznej, z której znowuż wypływają drogą naukowej analizy bezpośrednie wnioski socjalistyczne. Utrzymanie **naukowego** charakteru współczesnego socjalizmu jest więc ściśle związane z zachowaniem jego filozoficznych i socjologicznych podstaw. Ataki rozmaitych „rewizjonistów" w historii marksistowskiego socjalizmu były skierowane właśnie przeciw tym podstawom. Przeprowadzono je pod rozmaitymi hasłami: „powrotu do Kanta", „pogodzenia Marksa z Machem" itp. Postulowano „unowocześnienie" marksizmu, praktycznie próbowano go unicestwić.

Próby te kończyły się notorycznie bankructwem „rewizjonistów". Nie oświeciło to jednak współczesnych „naprawiaczy" Marksa. Zmieniono tylko flagę i hasła; tym razem hasłem dnia jest „umoralnienie" socjalizmu. Cel właściwy ten sam, co poprzednio; a może nawet jaśniej i wyraźniej wyrażony, niż w poprzednich okresach: likwidacja socjalizmu naukowego.

Przypatrzmy się bliżej wyczynom neorewizjonistów od De Mane i Déat po Leona Bluma i George'a Izard, a zrozumiemy istotę zagadnienia.

System etyczno-moralny marksizmu oparty jest o materializm historyczny; z tego też gruntu wyrasta marksistowski humanizm. „Krytycy" uważają, że to jest źle. Uważają, że socjalizm można oprzeć na oderwanym moralizowaniu, na idei Miłości i Sprawiedliwości, odrzucając teorię walki klas, ba! można wedle nich socjalizm zamienić w religię (patrz: Blum). To jest sens hałasu, który w pewnych kołach, zwłaszcza francuskiej socjaldemokracji, podniesiono ostatnio wokół zagadnienia humanizmu. Tu nie idzie bynajmniej o słuszne w obecnym okresie podkreślenie czynnika humanizmu **w marksizmie,** o wydobycie go na pierwszy plan; tu idzie o **przeciwstawienie** humanizmu marksizmowi, o przeprowadzenie podziału między socjalizmem **antymarksistowskim** a marksistowskim. Takie znaczenie posiada gadanina pewnych kół socjal-demokracji, że od komunistów różni ich troska o jednostkę, humanizm. Komuniści, stojąc twardo na gruncie marksizmu, są humanistami w najlepszym tego słowa znaczeniu. A próba strojenia się prawego skrzydła socjaldemokracji w fałszywe piórka „humanizmu" posiada wyraźnie reakcyjny charakter, będąc przykryciem ataku przeciw naukowemu socjalizmowi i rewolucyjnemu skrzydłu jego zwolenników.

Rewizjoniści prowadzili dawniej walkę przeciw marksizmowi z hasłem „powrotu do Kanta" na ustach; dziś stare hasło zostało zastąpione nowym: „powrotu do utopistów". Wprawdzie nie mówi się tego głośno, ale do tego sprowadza się cała akcja. Cóż bowiem pozostaje z socjalizmu po odrzuceniu jego marksistowskiej teorii i oparciu go jedynie o czynnik moralności i religii, jak nie socjalizm utopijny? I to często nawet taki, jakiego powstydziłby się stary Saint-Simon, który znał przecież zjawisko walki klas.

W swoim czasie socjalizm utopijny był kierunkiem postępowym; ale w swoim czasie burżuazja była również nosicielką rewolucji i postępu. Dziś burżuazja reprezentuje siły wsteczne, hamujące rozwój społeczny; w nowych warunkach, w warunkach rozkładającego się kapitalizmu, wysoko rozwiniętej klasy robotniczej, która przechodzi do bezpośredniej walki o socjalizm, socjalizm utopijny, jako **akutalny** kierunek polityczny, staje się siłą **reakcyjną.** De Man i Leon Blum to nie to samo, co Saint Simon i Fourier. Humanizm utopijny wielkich socjalistów - utopistów był krokiem naprzód w porównaniu z humanizmem burżuazyjnym; humanizm utopijny Bluma i jego zwolenników jest potężnym krokiem wstecz w porównaniu z humanizmem socjalistycznym Marksa. Na tym polega różnica i ona decyduje o reakcyjnym charakterze antymarksistowskiej kampanii, wszczętej przez prawe skrzydło socjal-demokracji pod sztandarami „humanizmu".

Problem „humanistycznego" rewizjonizmu jest dziś tak ważny i nabrzmiały, że wymaga odrębnego, samodzielnego opracowania, do którego powyżej przytoczone uwagi służyć mogą tylko jako ogólne wprowadzenie.

MY, HUMANIŚCI

Socjalizm naukowy jest systemem **naukowym.** Ale jednocześnie właśnie dzięki temu, że jest nauką i, że z naukową ścisłością prowadzi do najwznioślejszego celu, jaki postawiła sobie ludzkość na przestrzeni swych dziejów, jest **poezją.** Jest poematem, pieśnią nad pieśniami ku czci wolnego człowieka, który wyzwolił się z pęt niewoli społecznej i zależności od ślepych sił przyrody, by wstąpić na najwyższe szczyty doskonałości.

Ta poezja była i jest marzeniem ludzkości. I właśnie dlatego, że tylko w ruchu marksistowskim rymowały się strofy wielkiego poematu o Wolnym Człowieku, w jego szeregi wstępowali od wieku najlepsi, najofiarniejsi synowie rodzaju ludzkiego na całym świecie.

Wielka potęga tkwi w tej poezji, wielka siła. Nie wolno o niej zapominać, nie wolno jej zaniedbywać, jeśli pragniemy zwycięstwa. W jej imię szli na śmierć Bohaterowie Komuny; z nią na ustach składali życie w ofierze bohaterowie polskiego proletariatu, tysiące bezimiennych bojowników polskiej rewolucji; ją realizując przekuwano ofiarę tysięcy w zbrojny czyn Rewolucji Październikowej; ona przyświeca po dziś dzień bojownikom i męczennikom mas pracujących na całym świecie. Wiarę w przetrwanie wieloletniego więzienia kapitalistycznego daje bojownikowi sprawy proletariatu przekonanie, że w ten sposób walczy o wyzwolenie klasy robotniczej, a wraz z nią całej ludzkości; hart ducha, który ze spokojem pozwala bohaterom klasy robotniczej patrzeć w oczy swym katom nawet u stóp szubienicy, bierze się z niezłomnej wiary, że śmierć ich jest drogą do zwycięstwa wielkiej idei — Wyzwolenia Człowieka. Ta idea, idea najszlachetniejszego humanizmu uskrzydla bojowników socjalizmu, nią przepojona jest cała ideologia socjalizmu. Teoria socjalizmu jest bowiem tylko wskazaniem właściwej drogi do wielkiego celu, który przyświeca ludzkości.

Każdy okres posiada swoją klasę przodującą. Jest to ta klasa, w której interesie leży obiektywny rozwój historyczny, zmiana panującego ustroju. Jest to ta klasa, która uciemiężona w istniejącym ustroju oczekuje swego wyzwolenia w ustroju nowym. Ona staje się też jego ideologicznym rzecznikiem, ona staje się jego realizatorem, skupiającym naokoło siebie najlepsze, najbardziej postępowe siły narodu. Ona, występując przeciw panującemu uciemiężeniu jednostki, staje się wyrazicielką ideałów wyzwolenia człowieka, ideałów humanistycznych.

U schyłku feudalizmu klasą tą była burżuazja. Ona też reprezentowała w owym czasie najbardziej postępową siłę społeczeństwa, jej ludzie zasilali szeregi najwybitniejszych, najbardziej światłych umysłów epoki, jej ideologia stała się wyrazicielką ówczesnego humanizmu. Ta ideologia, właśnie dzięki swej humanistycznej postawie, stała się drogowskazem dla całego stanu trzeciego, skupiła cały naród wokoło walczącej burżuazji.

W dzisiejszej epoce rola ta przypadła klasie robotniczej. Walka proletariatu o wy-

ROZMAITOŚCI

NIEZWYKŁY DZIENNIK

Julian Green, francuski powieściopisarz pochodzenia kanadyjskiego, ulegał pokolei wszystkim niemal prądom literackim dwudziestolecia. Autor „Mont-Cinere", „Lewiatana", „Podróżnego po ziemi" i tuż przed wojną napisanej „Varouny" dał w piętnastu tomach swej prozy świetną reprezentację postaw formalno - ideologicznych dwudziestolecia, od realizmu („Epaves") poprzez psychologizm („Adrianna Mesurat") i związki z Kafką („Minuit") do mistycznego estetyzmu swego „Dziennika", którego części pisane w latach 1939 — 1943 są dziś głośne w Anglii, Francji i Ameryce.

Green pozostał znakomitym stylistą. Klimat kulturalny, w którym obraca się jego słowo jest delikatny. Kadencja jego zdania ma muzyczną płynność i łacińską logikę konstrukcji. Jego „Dziennik" przesiąknięty jest wykwintem myśli, obrazów i ludzi. Jest to dziennik z czasów wojny, która pisarza zastała w Stanach Zjednoczonych.

Jest to niezwykły dziennik. Wieści z frontów, okrutne nowiny z kontynentu zamknięte są tam w krótkich, jakby roztargnionych zdaniach. Tom ma 300 stron. Na 300 stronach dałoby się zebrać 300 wierszy realiów wojenno - politycznych. Te 300 wierszy ginie w rozlewającej się na każdej kartce plazmie wspomnień, marzeń, rozważań. Urok stylu i wrażliwość inteligencji pisarza porywają na tyle, że jego świat wewnętrzny może stać się światem czytającego. A świat wewnętrzny autora zaludniają niemal wyłącznie uczucia religijne, najcieńsze smaki estetyczne i smutna tęsknota za sobą samym z paryskich czasów spokoju. Notatka z 23 czerwca 1941 r. brzmi następująco: „Niektórzy sądzą, że Niemcy mają wielkie szanse pokonania Rosji, ale pragną wierzyć, że jej opór będzie trwał długo. W każdym razie jest to wytchnienie dla Anglii". To wszystko o wybuchu wojny radziecko-niemieckiej. Po kropce następne zdanie: „Szósta pieśń Czyśćca. Widzi się wszystko, co pisze ten człowiek, każdy wiersz uderza i zatrzymuje. Oszczędność słowa tak wielka, że byłoby niemożliwe cokolwiek stąd odjąć, ale w tej zwięzłości jest pełnia, która zdumiewa. Nie które słowa dręczą wspomnienie, jak krzyk Pii: „Ricorditi di me, che son la Pia..."

I tak dalej, stronica za stronicą. Czasem efekty przedziwne, jak np. notatka z 25 sierpnia: „Dowiedziałem się, że w ostatnią środę czy czwartek, w Paryżu, pułkownik niemiecki został zasztyletowany w metro. W odwet za to aresztowano tysiące niewinnych ludzi i uwięziono ich jako zakładników. Pod wrażeniem tej wieści odczytałem drugi rozdział pierwszej Księgi Machabeuszów". Autor obraca się ciągle w świecie wtórnych odczuć. Dopiero poprzez lekturę Pisma potrafi przeżyć niewolę Francuzów. Dla współczesności pozostał mu tylko smutek i niesmak. Gdzieindziej pisze: „Byłbym szczęśliwy w r. 1840, szczęśliwszy w 1640. W 1940 nie ma dla mnie innego miejsca, niż tam gdzie mogę schronić się przed światem".

Green spędził w Ameryce całą wojnę, ale na kartkach jego dziennika nie ma słówka o życiu ludzi w USA. Obchodzi go pejzaż, mistyczne wzruszenie wszechświatem i własne przeżycia estetyczne. Świat prawdziwy jest na tych stronicach socjalną próżnią nasyconą wyłącznie tym, co absorbuje „ja" pisarza. W Greenie można dopatrzyć się reprezentatywnego okazu klerka-humanisty, dla którego świat jest przestrzenią idei i grą wzruszeń. Dramatyka społeczna w tym świecie nie istnieje.

Czytałem ten dziennik ze zdumieniem. Tak jaskrawy dowód trafności sformułowań naszej publicystyki pod adresem dwu dziestolecia z jego typem intelektualisty — przeszedł moje oczekiwania. Stronica za stronicą, z „Dziennika" Greena wyłania się postać dobrze nam znana: antyfaszysta nie wierzący w postęp, sceptyk pełen niesmaku dla wszystkiego prócz siebie, Boga i kilku wybranych książek, Europejczyk zwrócony wstecz ku przeszłości, dla którego wiek XIX jest ostatnim stuleciem kultury.

Jest to pamiętnik tragikomiczny. Niektóre jego partie wydają się szydercze — są tylko naiwne. Gdyby jego celem była satyra — niewiele trzeba by tu wyjaskrawić, aby ten cel spełnić. Ale „Dziennik" Greena nie jest autoironią — przeciwnie, jest dziełem wzruszenia.

Kiedy czytałem te kartki, opadał mnie niepokój: niemal tyle świetności formalnych, ile fałszów ideologicznych! Bo trzeba podkreślić raz jeszcze pełne precyzji rzemiosło literackie Greena, jego najwrażliwszą kulturę i piękno jego słowa. W tym smutnym, czasem śmiesznym dzienniku dźwięczą przecież najczystsze tony wielkich tradycji literackich.

Książka Greena i wiele jej podobnych na Zachodzie są chętnie używane jako argumenty. Dowodzi się na ich przykładach, że dobra literatura wymaga tylko rzemiosła i wzruszenia. Tego samego dowodzi się na przykładach odwrotnych, gdzie postępowy obraz społeczeństwa ukazany jest w pospolitej formie literackiej. Oczywiście, nie jest trudno argumentować, skoro się zestawia pierwszorzędne eksponaty jednego zjawiska z drugorzędnymi eksponatami innego zjawiska.

Piszę to, aby raz jeszcze podkreślić fałszywość sądów, które usiłują sugerować kolizję między kulturą literacką a świadomością ideologiczną. Sugestia tej kolizji jest argumentem tylko politycznym. Świetność formalna nigdy nie była w sztuce pojęciem przeciwstawnym wobec postępu. „Dziennik" Juliana Greena nie świadczy o niczym innym, jak o niechęci widzenia realnej problematyki spraw ludzkich u pisarza pewnego okresu.

KAZIMIERZ BRANDYS

zwolenie klasowe jest bowiem walką o wyzwolenie całej ludzkości, ideologia proletariatu wyraża najwznioślejsze ideały humanistyczne współczesności. Dzięki temu też walka proletariatu i jego ideologia posiadają potężną siłę atrakcyjną. W imię zwycięstwa należy dążyć do jej wykorzystania i do skupienia wszystkich możliwych rezerw. Nieuświadomionej części proletariatu, nieproletariackich mas pracujących, ludów uciśnionych, pokrzywdzonych społecznie w ustroju kapitalistycznym kobiet, pozbawionej perspektywy rozwoju młodzieży, dążącej do wyższego rozkwitu nauki i kultury inteligencji. Podkreślanie, uwypuklanie humanistycznego ideału socjalizmu jest potężną bronią w tej walce. Staje się to dzisiaj pierwszorzędnym zadaniem ruchu robotniczego. W imię zwycięstwa wielkiej idei socjalizmu musi ruch robotniczy wywalczyć powszechne zrozumienie, że dumne słowa **„My, marksiści"** są równoznaczne ze szczytnym wyznaniem wiary **„My, humaniści".**

Adam Schaff

ANDRZEJ STAWAR

TADEUSZ ŻELEŃSKI - BOY (VI)

APARAT LITERACKI

Wspominałem o trudnościach, które nasuwała charakterystyka pisarstwa Boy'a. Później zaczęto nazywać go krytykiem, co niebardzo pasuje do pisarza, który sprawami bieżącej literatury prawie się nie zajmował, o ile to nie tyczyło teatru. Powiedzenie, że Boy był essayistą nie wiele mówi. Essaye pisywano różnego typu. Zestawmy essay Boy'a z essayem Spasowicza czy Brzozowskiego. Wybitni pisarze stwarzają nie tylko odrębny styl, ale odrębne gatunki, zwłaszcza, gdy dzieje się to na terenie stosunkowo nowym, gdzie technika, sposoby ujęcia nie zostały spetryfikowane, ani ujęte w kanon obowiązujący.

Boy nie wynalazł felietonu literackiego, — co można by mniemać z niektórych wypowiedzi jego entuzjastów, ale wprowadził istotnie własny jego typ. Odciążał felieton z materiału kronikarskiego, beletryzował go, nadał mu nową postać. Jedyny utwór napisany przezeń, który by można podciągnąć pod miano powieści „Marysieńka Sobieska", odbiega zresztą od utartego typu powieści biograficznej. Ale jak podkreśliłem, najważniejsza część produkcji literackiej Boy'a przechodzi nieznacznie na teren beletrystyki. Szkice, felietony Boya są w pewnym stopniu fabularne. Jego recenzje teatralne bywają niekiedy noweletkami pisanymi na marginesie fabuły autorskiej, rozwijają, uzupełniają fabułę czasem w formie kontynuacji. W wielu essayach nietrudno dostrzec istnienie jakiejś ukrytej osi fabularnej, rozwijanie wywodów po tej osi.

Wątki fabularne, anegdota występują tu w postaci skondensowanej, w ekstrakcie, — inaczej niż w powieściach, gdzie anegdota przeważnie zostaje rozcieńczona w elementach opisowych. Ale, podobnie jak w powieści, fabularność podporządkowana bywa tu określonym celom. Nawet wówczas gdy wydaje się, iż autora bawi po prostu nizanie wydarzeń, występuje wiążąca refleksja bądź dydaktyczna, bądź wkraczająca w sferę ogólnej filozofii życiowej. Dlatego Boy nie wpada w anegdociarstwo stanowiące częstokroć plagę felietonu — nużące opowiadanie efektownych przypadków. Anegdota ma u niego charakter przypowieści. Ten typ krótkiego utworu o tradycjach skądinąd archaicznych, jest w istocie dalekim protoplastą powieści z tezą — typ utworu rozpowszechniony w okresie pozytywistycznym i później. Autor wziąłby wypadki, które się wydarzyły rzeczywiście, rozłożyłby akcję na osoby, dodał charakterystyki, zaopatrzył w rezonera, wyjaśniającego tendencje. Opisywałby w międzyczasie jak ludzie rozmawiali, podróżowali, spali, jedli, harowali, spotykali się ze znajomymi, kochali się, kłócili. „Dziewice konsystorskie" dają jedynie ekstrakt, autor opowiada jedno wydarzenie, potem inne z tej samej praktyki, i nie zatrzymuje się dłużej. Technika owa wykazuje pokrewieństwo z opowieściami pisarzy XVIII w. z ich pewnym schematyzmem i skondensowaniem narracji.

Zresztą w „Dziewicach Konsystorskich" nić wiążąca ma charakter publicystyczny. Niemniej charakterystyczne, są te felietony i szkice, w których oś stanowią ściśle biorąc dzieje obyczaju. Sukces felietonów Boy'a wiąże się tu z zanikiem t. zw. powieści obyczajowej, którą albo przestano w tym okresie uprawiać — albo uprawiano w postaci stanowiącej pewnego rodzaju poślad literacki, w formach najbardziej zwulgaryzowanych. Dlatego rozważanie zarówno silnych jak i słabych stron pisarstwa Boy'a musi wkraczać w teren beletrystyki.

Weźmy np. głośny pamflet Boy'a „Dziewice konsystorskie" poświęcony praktyce rozwodowej sądów konsystorskich. Można sobie przedstawić ten temat, potraktowany w formie powieści z tezą — typ utworu rozpowszechniony w okresie pozytywistycznym i później. Autor wziąłby wypadki, które się wydarzyły rzeczywiście, rozłożyłby akcję na osoby, dodał charakterystyki, zaopatrzył w rezonera, wyjaśniającego tendencje. Opisywałby w międzyczasie jak ludzie rozmawiali, podróżowali, spali, jedli, harowali, spotykali się ze znajomymi, kochali się, kłócili. „Dziewice konsystorskie" dają jedynie ekstrakt, autor opowiada jedno wydarzenie, potem inne z tej samej praktyki, i nie zatrzymuje się dłużej. Technika owa wykazuje pokrewieństwo z opowieściami pisarzy XVIII w. z ich pewnym schematyzmem i skondensowaniem narracji.

Zresztą w „Dziewicach Konsystorskich" nić wiążąca ma charakter publicystyczny. Niemniej charakterystyczne, są te felietony i szkice, w których oś stanowią ściśle biorąc dzieje obyczaju. Sukces felietonów Boy'a wiąże się tu z zanikiem t. zw. powieści obyczajowej, którą albo przestano w tym okresie uprawiać — albo uprawiano w postaci stanowiącej pewnego rodzaju poślad literacki, w formach najbardziej zwulgaryzowanych. Dlatego rozważanie zarówno silnych jak i słabych stron pisarstwa Boy'a musi wkraczać w teren beletrystyki.

Po roku 1918 obok innych kryzysów natury generalnej u nas i zagranicą pisano o kryzysie literatury, kryzysie czy nawet upadku powieści. To co się czyta obecnie na ów temat nie należy całkiem do nowości. Bywa dziś, że krytyk stuka młodego beletrystę po ciemieniu woluminami Balzaka — czemuś nie taki jak Balzak. Po roku 1918 u nas w pewnych kołach wyglądano niecierpliwie nowego Sienkiewicza — popełniono nawet z tej niecierpliwości parę omyłek wobec młodych „Sienkiewiczów": z autorem „Trylogii" niestety, łączyła ich tylko więź epigonizmu. Potem to ucichło — w prasie artystycznej po roku 1930 zrobił się pewien ruch — od czasu do czasu sarkano jedynie na brak powieści i pisarzy o wpływie takim, jakim cieszyli się Sienkiewicz, Prus i Żeromski. Nie była to, jak próbowano niekiedy dowodzić kwestia posuchy na talenty, z tym nie było tak źle. Niezawodnie powieść miała nawet w tym okresie wybitnych przedstawicieli tak z poprzedniego pokolenia jak i z pośród młodszych. Wiele dzieł cieszyło się dużym uznaniem i pozytywnością.

O jakimś upadku rodzaju powieściowego w tym okresie nie można więc mówić, — raczej (co nie jest to samo) o kryzysie znaczenia społecznego. Mamy tu zjawiska nader złożone, w których splatał się cały szereg motywów natury społeczno - kulturalnej w związku z ogólną ewolucją piśmiennictwa.

W wieku XIX powieść stała się najsilniejszym rodzajem literackim — czym piechota w armiach — królową broni. Odbijała w stopniu poważnym zainteresowanie i potrzeby społeczne. Ale należy pamiętać, że początkowa pozycja tego rodzaju w ówczesnej oficjalnej estetyce była dość podrzędna. Boy pisał o tym, zajmując się perypetiami sławy Balzaka największego powieściopisarza okresu, któremu odmawiano uporczywie niektórych zaszczytów przyznawanych innym, skądinąd mniejszego znaczenia autorom epoki. Stopniowo dopiero powieść wywalczyła sobie pozycję.

W czasach Balzaka, Dickensa, Tołstoja, u nas Kraszewskiego a nawet Sienkiewicza i Prusa, publiczność literacka wyrafinowanych doznań artystycznych szukała gdzieindziej. W istocie stosunek powieściopisarzy do spraw artyzmu był dość luźny — szukano u nich prawdy życiowej, odbicia tego, co się myślało, czuło, dążeń, walk czasu. — To były sprawy życiowe. Że Balzak był wielkim artystą, nie wszyscy jego zapaleni czytelnicy i wielbiciele sobie uświadamiali — to odkryto we właściwym stopniu dopiero później. Zainteresowanie powieścią miało, wedle niepozbawionego wzgardliwości określenia Stanisława Ignacego Witkiewicza, charakter „bebechowy", artyzm stał na drugim planie. Teorie S. I. Witkiewicza w okresie omawianym reprezentują skrajny estetyzm, zresztą o rysach schyłkowych — zdaniem jego — odosobnionym — choć bronionym nie bez konsekwencji — powieść w ogóle nie należy do sztuki, jako obciążona w zasadzie materiałem postronnym, materiałem życiowym.

Istotny rys dawnych mistrzów powieści stanowiło swobodne i luźne mieszanie elementów obrazu z elementem faktograficznym. Tutaj występował znamienny przełom. Z rozwojem techniki powieściowej z uznaniem prestiżu estetycznego tego gatunku, element faktograficzny zaczęto tępić. Krytyka zaczyna szerzyć postrach gazetowości, dziennikarszczyzny i tp. Stają się one zmorą powieściopisarzy. Bodaj, iż znaczna część ówczesnych wymyślności stylistycznych i technicznych przyjęła się, jako środek uchronienia pisarza przed pomówieniem o ten rodzaj potoczności, który uważano za domenę dziennikarstwa. Tego postrachu gazetowości protokółu ciążącego nad powieścią nowszej doby, oraz idącej istnej bojaźni faktu, powieściopisarze poprzednich okresów, ogólnie biorąc, nie znali

Zjawisko uderzające a poniekąd paradoksalne: powieść wraz z pojawieniem się kierunku naturalistycznego wchodzi na koturny estetyzmu. W drugiej połowie XIX wieku przedstawicielem obu tych tendencji był Flaubert i jego zwolennicy, których wpływy szybko przedostały się przez granicę Francji. Skądinąd było to zgodne z logiką rzeczy. Tak silny i żywiołowy rozwój nowego w istocie gatunku literackiego wymagał przecie kodyfikacji estetycznej, ujęcia w wyraźne reguły, ustanowienia charakteru, wymagań. Bogactwo materiału wniesionego przez powieść pociągnęło za sobą wzrost badań, analizy. Wiadomo zatym, że z rozwojem gatunku następuje i pewien wzrost wyrafinowania.

Tendencje owe zadały stanowczy cios powieści publicystycznej, tak zwanej powieści z tezą. Można to zauważyć w zarzutach krytyki pod adresem nie tylko typowych przedstawicieli tej odmiany jak u nas Artur Gruszecki, ale i wobec czołowego powieściopisarza epoki Żeromskiego. Żeromskiemu wytykano dwoistość — partie stylowo wytrzymane, w poetycznym języku i partie referatowe, suche, rezonerskie. Przykład zachodzącej zmiany stanowi twórczość pisarza, który linię stylizatorską wyraził najpełniej Wacława Berenta. Pierwsza jego duża powieść „Fachowiec" stanowiła przykład powieści z tezą, wedle modelu wówczas przyjętego. Między „Fachowcem" wydanym bodaj w roku 1894 a stylizatorskimi, estetyzującymi „Żywymi Kamieniami", które wyszły w 1918 r. widać drogę, którą przechodziła powieść ówczesna.

Zresztą Berent stanowił przy całej konsekwencji rozwoju, przykład skrajny. Podstawowa grupa powieściopisarzy poszła raczej drogą pośrednią — stylizacji usiłującej nie zrywać z realizmem. Powstało w tym okresie wiele rozważań na temat realizmu artystycznego, szukano rozwiązań, aby utwór był i artystyczny, utrzymany w stylu i mający związek z życiem i realny.

Ale tu występują cechy kryzysu, o którym tyle mówiono i pisano. Kanonizacja, klasycyzacja powieści połączona została z zatraceniem pewnych istotnych właściwości, stanowiących o sukcesie społecznym powieści doby pierwszego rozkwitu. Mamy objaw pozornie sprzeczny, ta sprzeczność często się powtarza w literaturze, bo ma głębsze podłoże społeczne. Prestiż estetyczny rodzaju literackiego wzrasta — ale w miarę kanonizacji estetycznej, jego waga społeczna spada.

Po roku 1918 słowa „Proza", „Prozator" wymawiano uroczyście z dużych liter, z jakowym napięciem. Ton ten nadał Kaden Bandrowski, a udzieliło się to w wysokim stopniu zwłaszcza młodszym pisarzom. Zjawisko, stosunkowo proste dawniej zaroiło się od sekretów. — Różnica między naiwnym poniekąd artyzmem w dobie początków powieści, a tym okresem, przypomina potroszę sytuację z komedii Moliera. — gdy panu Jourdain, pedagogowie powiedzieli, że mówi prozą. Podobną usługę nowelistom i powieściopisarzom oddali estetycy odkrywający artyzm prozy powieściowej. Przy ustalaniu na czym to polega, wyrzucono za burtę artystyczności znaczną część tego, co stanowiło istotę dawnej powieści obyczajowej. Odbywa się przytym znamienne przesunięcie w zakresie środków technicznych i traktowanie materiału jak i filozofii tego rodzaju literackiego.

Trudno zaprzeczyć zresztą, że owe tendencje miały swoje uzasadnienie. Pierwotna mieszanina środków artystycznych istotnie otwierała pole wulgaryzacji. Oczyszczanie metod, uściślenie kryteriów, było zrozumiałe. Lecz w przeciwstawianiu się metodom dawnej powieści, uważanym za prymitywne, wylewano dziecko z kąpielą.

W powieści europejskiej ostatniej daty wystąpiło lekceważenie fabuły, wzgardliwy stosunek do anegdoty, w ogóle do czynników dramatyzujących narracje, jako do mało wybrednych środków działania. Wyrzeczono się tradycyjnej techniki malowania środowiska. Zadaniem głównym staje się rozwijanie, notowanie odruchów, impulsów przy symbolizowaniu przeżyć pewnego rodzaju algebra psychologii, zamiast dawnych konkretnych elementów. Wszystko to było na pierwszy rzut oka logiczne, zgodne z rozwojem najnowszych tendencji w psychologii, tylko, że przez to powieść zatracała kontakt z rzeczywistością społeczną, fakty natury społecznej nie dawały się całkiem zasymbolizować. Występuje tu osobliwy przekwit jakiegoś partykularyzmu życia osobistego. Tendencje owe nie działały z jednaką siłą i nie zawsze w sposób wyraźny — znajdowały też one przeciwdziałanie, tak, iż obraz nie zawsze wyda się tak jednolity — ale mimo wszelkich dyktowanych ostrożnością zastrzeżeń, nie ulega wątpliwości, iż mamy tu czynnik osłabiający niewątpliwie społeczne oddziaływanie powieści w tej epoce.

Tu zaważyły jako się rzekło konsekwencje dwóch kierunków, nie koniecznie zgodnych w punktach wyjścia, ale uzupełniających się w dość ujemnym działaniu — estetyzm i naturalizm. W tym ostatnim przy jego skłonności do wyciągnięcia konsekwencji z realizmu zaznaczył się prąd badawczy, rozwój poszedł w niezbyt fortunnym k i e r u n k u. Oddziaływały też niektóre kierunki w nauce współczesnej i niektóre reklamowane kierunki filozoficzne. Przy swych przyrodniczych koneksjach naturalizm rozwijał kult żywiołowości, właściwy postawie romantycznej. — To niebezpieczne połączenie zauważono już u Flauberta. Estetyzm prowadził do odrzucania tendencji, faktu dawanego wprost, jako elementów gazeciarstwa, publicystyki obcej sztuce. Wszystko co artystyczne winno było być zasymbolizowane, zaszyfrowane w obrazie bez pozostawiania „pustych" artystycznie miejsc rezonerstwa, protokółu czy referatowości (ulubiony zarzut krytyki w stosunku do Żeromskiego).

Wrezultacie zwyciężyła i zapanowała technika podobna do tej, którą widzimy w obrazach szkoły poimpresjonistycznej. Są one szczelnie zapełnione plamami barwnymi, każdy milimetr obrazu wydaje się starannie zatłoczony, jakby uszczelniony. Podobnie świat powieściowy zatłoczony, uszczelniony zostaje obrazami przedmiotów, przeżyć fizjologicznych, odruchów. To nagromadzenie powoduje zanik perspektywy, poczucia jakowegoś ucisku intelektu, choć i natura wydaje się jednakowo zmaltretowana przy tym uszczelnianiu i upychaniu obrazów. Nadmiar konkretu artystycznego przy jakowejś migotliwości w jego podaniu, powoduje dla odmiany nie konkretność w odbiorze, co wynika bodaj z przemęczenia wyobraźni identycznymi w gruncie rzeczy odbiciami. Podobnie jak obrazy szkoły poimpresjonistycznej, powieść wykazuje tendencję do przecho-

dzenia w dekoracyjność — naśladuje niby dywan wzorzysty i barwny, arabeskę, w której rzeczywistość świata widzialnego staje się punktem wyjścia dla pomysłowych gry linii i barw, gdzie konkret przechodzi nagle w abstrakcyjne, akonkretne esy floresy. (Interesująca polemika na te tematy związana z malarstwem, toczyła się niedawno w „Odrodzeniu" z okazji wystąpienia Tadeusza Dobrowolskiego).

To przechodzenie w dekoracyjność, w technikę gobelinową podniósł już Kołaczkowski z okazji „Żywych Kamieni" Berenta, słusznie zaznaczając, że przy takim traktowaniu materiału, powieść przestaje być powieścią. To się odnosi również do utworów tego typu — jak „Sklepy cynamonowe" Szultza i wielu innych. Konsekwencje tej postawy z innej strony okazują się wręcz nihilistyczne, zatracają i niszczą granice rodzajów.

Tu zresztą mamy zjawiska dość skrajne. W powszechniejszym zastosowaniu wpływy tendencji etetyzujących zaznaczyły się w sposób mniej ostry, stając się przez to mniej niszczące. Większość pisarzy szła drogą pośrednią, szukała kompromisu między tradycjami dawnej powieści a despotycznymi nakazami estetyzmu. Wyniki były czasem mniej czasem więcej szczęśliwe.

Programowe przeciwdziałanie mamy tu u niektórych pisarzy lewicowych akcentujących silnie kierunek społeczno - polityczny swych utworów. Nie potrafiły one wywalczyć sobie miejsca nietylko z powodów niesprzyjających momentów politycznych, ale przedewszystkim z powodu swej połowiczności technicznej. Powieść społeczna tego okresu również ulega w sposób swoisty tendencjom naturalizmu estetyzującego, które osłabiają jej działanie w wyniku ostatecznym. Tym się tłumaczy również niepowodzenie literatury nazwanej programowo populistyczną we Francji — u nas w tym okresie reprezentowanej przez grupę „Przedmieścia", której ambitne zamiary zespołowe zakończyły się na kilku, interesujących zresztą, próbach.

W przedmowie do „Obiadu literackiego" Boy pisze o pochodzeniu hasel sztuki czystej w nowoczesnej literaturze. Hasło „sztuki dla sztuki" pojawiło się w tym sformułowaniu we Francji za Cesarstwa, w warunkach silnego nacisku policyjnego reżimu na pisarzy i artystów, gdy pisarzowi niezależnemu pozostawał wybór: iść do więzienia lub na wygnanie, jak Victor Hugo, albo wedle słynnego wyrażenia pono Flauberta zamknąć się w wieży z kości słoniowej. Estetyzm miał stanowić w ówczesnych warunkach społeczno - politycznych formę obrony niezależności artysty. Ale przyjęcie tej postawy wobec istniejącego stanu rzeczy oznaczało przy braku zgody na istniejący porządek społeczny, niezdolność aktywnego przeciwstawienia się. W tejże Francji o sto lat wcześniej czołowi pisarze również zapoznają się z więzieniem i wygnaniem, również zmuszeni są szukać różnych form działania, aby przeniknąć do społeczeństwa przez oka sieci cenzury i administracji. Duch literatury odmienny, wynikał z odmiennego nastawienia społecznego. To wyjaśnia jednocześnie pogardę dla mieszczucha przy identycznej w wielu względach postawie społecznej ludzi, będących kością z kości mieszczaństwa, choć zdradzających niewinną inklinację do pewnego burczymuchowstwa*).

Ta postawa społeczna określa w gruncie rzeczy nawet techniczne elementy w sztuce. Choćby w opisie, który przy początkowym wpływie tendencji unaukowienia, właściwym naturalizmowi ulega znamiennemu wypaczeniu przez czynniki innej zgoła natury. Kult opisu towarzyszył również początkowi powieści — ale wówczas miał charakter odkrywania świata przedmiotów ignorowanych przez dotychczasową konwencję literacką, traktowanych z ostentacyjnym lekceważeniem, właściwym społeczeństwu arystokratycznemu, gdzie ton nadają żywioły traktujące zagadnienia produkcyjne z pogardą. Artysta wprowadza nazwę przedmiotu, rodzaju pracy, nazywa go rzec można po raz pierwszy, rozkoszuje się opisem, przedłuża go często więcej niż trzeba — jak to wykazywano u Balzaka lub u Victora Hugo. Opis ówczesny miał charakter faktograficzny. Ze zmianą postawy społecznej w opisowości zaczynają przeważać inne tendencje. Pewien przesyt wartościami realnymi, charakteryzuje postawę mieszczaństwa, które uarystokratycznia się. Opis zatraca cele faktograficzne, staje się stylowym elementem plastyczno-dekoracyjnym, ma już cel odmienny — rzeczy, przedmioty pokazuje w trybie dekoracyjnym, w takim odkształceniu, jakiego wymagają względy ornamentyki, stąd owe smaczki deformacyjne, dostarczające rozkoszy estetycznych dzisiejszym znawcom.

Omówiłem wyżej ewolucje współczesnej powieści o tyle, o ile to uwydatnia wzrost linii piśmiennictwa reprezentowanej przez Boy'a. Wynikło to nie z programu czysto literackiego — tego Boy nie miał. W jego działalności nie brak pewnej programowości, ale w dziedzinie ogólnokulturalnej. To że Boy znalazł się w centrum zagadnień literackich czasu, stanowiło dla niego samego pewną niespodziankę — ale to wynikało z przebiegu ewolucji piśmiennictwa.

Andrzej Stawar

*) „O czymkolwiek jest mowa, nikt nie lęka się użyć właściwego wyrazu: ale zarazem przy całej pogardzie dla **mieszczucha** jest to niejaka mieszczańskość horyzontu, bezwiedny nawyk pewnej postawy społecznej". (Przedmowa do „Obiadu literackiego").

KAROL WIKTOR ZAWODZIŃSKI

Kobieta wyzwolona w powieści Kraszewskiego *)

KOBIETA wyzwolona, w całej pełni znaczenia tego słowa, zjawia się u nas w literaturze romantycznej i poza Kraszewskim, ale w ramach nic wspólnego z rzeczywistością nie mających: w „Pogance" Narcyzy Żmichowskiej. Kraszewski zaś był nie tylko romantykiem, ale i w równej mierze realistą. Mimo, że w swej twórczości uwzględniał najrozmaitsze rodzaje literatury mu współczesnej i to w tej liczbie ultra-romantyczną; mimo, że sięgał często do wzorów obcych i to w takim stopniu, jak żaden bodaj wybitniejszy pisarz współczesny mu w Polsce, i dlatego może być uważany za przedstawiciela romantyzmu nie tylko w swoistej polskiej odmianie tego prądu, lecz i w całej pełni jego europejskiej wielostronności — Kraszewski nie umiał dawać obrazów i ożywiać postaci nie mających oparcia w rzeczywistości, nie zaobserwowanych w świecie, z którym się stykał. To też, gdy wybiera jako zasadniczy temat powieści „emancypację", już w pełni tego pojęcia, jak my je dziś rozumiemy, gdy tworzy postać kobiety wyzwolonej wszechstronnie, pod względem tak pojęć moralnych, jak i rozwoju umysłowego, umieszcza ją w epoce, kiedy emancypacja stało się objawem społecznym także i u nas, a więc w okresie pozytywizmu, w końcu ósmego dziesięciolecia wieku XIX.

„Szalona", pisana ponoć w r. 1878, świadectwem Chmielowskiego, który ją drukował w swem „Athenacum" w 1880 r., przedstawia jednak czasy dawniejsze o lat blisko dwadzieścia — pierwsze to zdecydowane manifestacje ruchu kobiecego. Najważniejsza przyczyna, dla której Kraszewski akcję umieszcza w tych warunkach czasu i miejsca jest ta, że istotnie sam on mógł zaobserwować te pierwsze jaskrawe i uderzające swą nowością objawy emancypacji, będąc czynny jako kurator honorowy szkół wołyńskich z wyboru szlachty tej prowincji: opiekował się wówczas napewno młodzieżą uniwersytecką, która z ziem ruskich zbierała się przeważnie na wszechnicy kijowskiej; w tym celu też pewnie odwiedzał Kijów po raz ostatni w latach 1859 — 60. Objawy te jednak, choć jaskrawe, nie wydały mu się na tyle ważne społecznie, by zasługiwały na spożytkowanie w powieści „społecznej" wówczas, gdy tyle innych spraw, bardziej dyskutowanych, czekało swej kolei, ze sprawą zniesienia poddaństwa chłopów na czele. Później powstanie styczniowe, jego preliminaria i konsekwencje, stały się przesłaniającą wszystko aktualnością. Ale, gdy temat stał się społecznie aktualny, Kraszewski, żyjący wówczas za granicą, w odosobnieniu emigranckim, wraca do zaobserwowanych przed laty i głęboko w jego fenomenalną pamięć wrytych zjawisk, inaczej wyglądających w oświetleniu nowych faktów i w dostatecznej perspektywie czasu. Jego realistyczny talent nie pozwala mu na oderwanie zaobserwowanych faktów od towarzyszących im danych czasu, miejsca i całego zabarwienia tego środowiska, w którym stanęły przed jego oczyma.

Umieszcza też akcję powieści w Kijowie, a jej chronologia, której ustaleniu wobec braku ścisłych dat w tekście, poświęciłem spory ustęp swego studium o bohaterce Szalonej („Skamander", styczeń 1939), wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieściła się w latach 1859 — 1862.

W tym wrzącym kotle idei i namiętności politycznych, elementy najradykalniejsze napewno, jak zawsze, umiały osiągnąć przewagę, dla tego też, pomimo wszystko, zabarwienie nadawane przez krańcowy radykalizm typu rosyjskiego, przybierający potoczną nazwę „nihilizmu" (jako nie uznającego nic z tradycją narzuconych autorytetów), przeważało nad czerwieńszym rewolucjonizmem narodowym, wnoszonym przez młodzież polską, przedstawicielkę społeczeństwa, bądź co bądź, już wskutek swej struktury społecznej (szlacheckość) i wskutek nawiązywania w walce o niepodległość do tradycji przeszłości, bardziej konserwatywnego. Pomijając sprawę wagi kontaktu tych dwóch radykalizmów w obliczu mających się wkrótce rozegrać wypadków (powstanie styczniowe), stwierdzić należy, że przychylanie się młodzieży polskiej w Kijowie ku opisanym wyżej formom radykalizmu materialistycznego, antyreligijnego i społecznie burzycielskiego, nie mogło być sympatyczne dla większości społeczeństwa polskiego, ani dla wiernego przedstawiciela tej większości, jakim był Kraszewski, związanego zwłaszcza w owej epoce, gdy w swych funkcjach kuratora szkół z ramienia szlachty wołyńskiej stykał się osobiście z tą młodzieżą, to jest właśnie u progu okresu objętego akcją powieści. Wkrótce potem stanowisko polityczne, a do pewnego stopnia i światopoglądowe Kraszewskiego, uległo znacznemu zwrotowi na lewo; ale wspomnienie niesympatycznych wrażeń otrzymanych współcześnie w zetknięciu się z radykalną studenterią kijowską musiało pozostać w uczuciach i w afektywnej pamięci pisarza.

Tem też poza wszystkim innem, tłumaczy się niechętny stosunek do tego objawu emancypacji kobiecej, jaką były pierwsze studentki uniwersytetów rosyjskich, zjawiska ściśle związanego z aurą rosyjskiego nihilizmu i jego promieniowania na zachód. Ze zjawiskiem „strzyżonej kursistki", jak popularnie nazywała ulica rosyjska studentkę, łączy Kraszewski wszystko co mu jest antypatyczne w dziedzinie obyczajowej i co uważa za niepożądane lub zgubne w dziedzinie moralności oraz z punktu widzenia narodowego i politycznie - społecznego: udział bohaterki w komunie paryskiej, jest ilustracją praktycznych konsekwencji jej poglądów, łączących bezbożnictwo z wywrotową ideologią społeczną.

I. J. Kraszewski

Niechętny stosunek Kraszewskiego do sprawy emancypacji, tak jak ona była pojmowana w epoce tworzenia i publikowania powieści, został zauważony współcześnie i oceniony ujemnie przez przedstawicielkę dość umiarkowanych nurtów emancypacji, jaką była Orzeszkowa (zaświadczone w jej prywatnym liście do Jana Karłowicza).

Ale tendencja utworu zaznaczyła coś — tylko w ogniu walki, gdy kwestia kobieca była na warsztacie publicystycznym. Dla nas, którzy już za sobą mamy kwestię kobiecą jako problem społeczny, książka jego, jakakolwiek byłaby jej rola w ogniu walki o równouprawnienie kobiety, znaczy tylko tyle, ile zawiera wagi i prawdy artystycznej, ile mówi jako dzieło sztuki.

I tu spotykamy uderzające i charakterystyczne dla autora, prawdziwego poety i wielkiego twórcy ludzi zjawisko. Kraszewski, jak każdy rzetelny epik, miał przed oczyma postaci działające w jego utworach nie jako oderwane schematy, konstrukcje wyprowadzone z pewnych uprzednio powziętych ideowych założeń, lecz jako wizje żywych ludzi, żyjących życiem własnym, nawet poza ramami ujmującego je wizerunku. Tak, jak przypuszczalnie malarz, który odtwarza tylko głowę portretowanej osoby, więzi jednak całość tej postaci, jej tułów, ręce i nogi. Podobnie Kraszewski malując wyzwoloną kobietę w jej określonym egzemplarzu, umiał dostrzec w jej postaci nie tylko te rysy, które wywoływały niechęć w jego zapatrywanaich na emancypację.

Postać, która miała służyć tylko dla ilustracji morału tendencyjnej powieści (że tendencyjnej, nie ukrywa tego sam Kraszewski, podkreślając taki charakter utworu mottem na karcie tytułowej), narodziwszy się, jak Minerwa zbrojna i gotowa do czynu, z głowy Jowisza, z wyobraźni pisarza, stanęła przed nim żyjąca pełnią psychicznego i fizycznego życia wraz ze wszystkimi swymi, więc i zbytecznymi, lub nawet niewygodnymi dla tego morału rysami. Raz zobiektywizowana, wymusiła na swym twórcy obiektywny, niezależny od tendencji, stosunek do siebie, i stosunek ten, stosunek człowieka sprawiedliwego, był sprawiedliwy, inny niż ideologa, przedstawiciela pewnej doktryny społecznej, w danym wypadku konserwatywnej. Tendencja sprowadzała się do ostrzeżenia: oto, do jakiego rozpasania obyczajów dochodzi kobieta wyemancypowana, wstępująca w szeregi studentek i odrzucająca konsekwentnie tradycyjną moralność opartą na religii. („Do kościoła nie chodzę wcale... wiarę mam własną, którą na rozumowanych podstawach buduję" chwali się Zonia). Ale tworząc postać, mającą stanowić przykład odstraszający, objektywny epik nie mógł jej pozbawić rysów, bez których w życiu, w realnych warunkach danej rzeczywistości, istnienie jej nie byłoby realne. Żeby być pionierką emancypacji, tak rewolucyjnie pojętej, więc zgubnej z punktu widzenia Kraszewskiego, trzeba było nade wszystko — i Kraszewski to rozumiał — być indywidualnością wyjątkowej siły. Choć prądy umysłowe nurtujące środowisko **Szalonej**, jako tkwiące korzeniami w romantyźmie, w momencie akcji, koło 1860 r., nie zalecały się odkrywczą nowością — jednak wcielenie ich w życie na tle ówczesnego społeczeństwa, świeżo wyszłego z tresury mikołajewskich pałek i wachtparady, z dna najczarniejszej reakcji, było niewątpliwie czynem wielkiej odwagi, zuchwałą ekspedycją zaawanturowanej najdalej awangardy postępu.

Społeczeństwo to scharakteryzowane jest niewielu, ale wyrazistymi rysami: świat, z którego wyszli bohaterowie, prawie kontuszowy, przechowujący poprzez wiek oświecenia i ubiegłe półwiecze XIX wieku nastrój patriarchalny czasów sas-

*) Fragmenty studium, które będzie towarzyszyć wznowieniu **„Szalonej"** Kraszewskiego w ramach serii „Kraszewski na nowo odczytany", wydanej nakładem wyd. Wł. Bąk. Powieści **Szalona i Czercza Mogiła, ukażą sie już w najbliższym czasie.**

kich; miasto, w którym akcja się odbywa, zaludnione przez kupiectwo, stan najbardziej konserwatywny cesarstwa rosyjskiego; warstwa czynownicza, jakby żywcem wyjęta z obrazu ówczesnych satyryków rosyjskich. Pozycję kobiety, odstępującej choćby na krok i pod działaniem siły wyższej od uświęconej drogi sakramentów, ukazuje nam wpleciona w powieść historia żony prowodyra młodzieży postępowej, kobiety bezbronnej, faktycznie poza prawem, zalukanej, szantażowanej przez własnego męża. Bohaterka powieści, buntownica przeciw kajdanom „strupieszałej społeczności", pojęta wychowanica „szalonego romantyzmu", wedle najbardziej oględnych określeń, na wstępie znajomości z nią „ekscentryczna i śmiała" panna, już wtedy mająca według własnych słów „pojęcia o życiu nadto zachwiane i wyemancypowane", a w tej liczbie postanowienie oddania się w miłości temu, w kim się zakocha, „nie pytając, czy świat pozwoli, to prawo natury, bo to prawo serca" — jest wielonym protestem przeciwko okowom tradycji, protestem czynnym, gdyż „nie dosyć słowa, trzeba czynów"; „jawna miłość, którą wy nazywacie bezwstydną, jest taką protestacją".

A wszakże miłość takiej jednostki nie może być czymś małostkowym i nie mogła zasługiwać na pogardę, zwłaszcza romantycznego pisarza, jakim był i pozostał Kraszewski do końca swojej działalności. Malując przeżycia miłosne Żoni, Kraszewski, wielki majster odtwarzania uczuć erotycznych, musiał portretowanej jednostce nadać odpowiedni temperament i odpowiednią siłę uczucia, a ta w jego, romantyka, rozumieniu uszlachetniała i, przepalając jak ogień żelazo, oczyszczała wszystko. Została więc bohaterka zaopatrzona w rysy, świadczące o jej odwadze, niezbędnej do obrania jej drogi życiowej, a zwłaszcza — jeśli to nie był chwilowy kaprys słabej i głupiej istoty — utrzymania się na tej drodze i wytrzymania konsekwencji tego wyboru. Byłoby to ponad siły słabego kobieciątka, to też, góruje w Żoni męskość, nie tylko w rysach zewnętrznych, podkreślonych już przez autora, w „ruchach trochę męskich", w chłopięcej zręczności i sile postaci, i chłopięcej czuprynie, w tych „pięknych włosach, choć niemiłosiernie obciętych". „Z jej odwagi i pracowitości... przykład drugim brać": ta opinia postronnego potwierdza się postępowaniem bohaterki w toku powieści. Po męsku umie myśleć, rozróżniać i oceniać; inteligencja i poważne pojmowanie życia — choćby w przesłanej siostrze radzie, stanowiącej uczciwie sformułowany program minimum emancypacji, program, który i w owym czasie nie mógł być przez nikogo zasadniczo potępiony: „niech u nikogo na łasce nie siedzi... niech uczy się i wyrobi na człowieka". Zdolność do męskiej decyzji: w sytuacji, która jest powtórzeniem „Damy Kameliowej", śmiało stawia czoło rzecznikowi tradycyjnych cnót, ale sama przecina nieodwołalnie więzy, łączące ją z ukochanym człowiekiem, zrozumiawszy, że jej szczęście nie jest szczęściem słabego kochanka. Męskość jej to męstwo. Umie skierować broń w pierś cudzą, ale sama śmierci się nie obawia, wyzywa ją w samobójczym zamachu trucizną (uzasadnionym w jej światopoglądzie: „Ja, com nie prosiła o życie, miałabym nie mieć prawa zrzucić z siebie to brzemię kiedy zechcę? —A Bóg? Krzyknął Ewaryst. Z pogardą obróciła się Żonia ku niemu... Madzia mówi co dzień pacierz? pości w środy i piątki, odprawia nowenny... ja jej tych rozkoszy nie bronię"). Męskość jej ujawnia się pozatem w dziedzinie, którą tak rzadko odsłania pruderyjna powieść polska: w stosunkach miłosnych, stanowi ona zawsze czynnik aktywny, nigdy nie oddaje się biernie, broni się choćby rewolwerem, gdy kto chce ją wziąć gwałtem czy zaskoczeniem; umie zachować inicjatywę ostatecznego kroku dla siebie: „ja jego uwiodłam", mówi o bohaterze swej wielkiej miłości, a że to prawda — przyświadczy świadek perypetji miłosnej — czytelnik; sama wreszcie, według doskonale obmyślonego planu, konstruuje tę przygodę, która ma zakończyć jej pobyt w kraju, która jednak wbrew temu, co oczekiwać można, nie staje się przelotną miłostką, lecz dotrwa aż pod mur skazańców. W braku spontanicznego uczucia w zarodku, jej trwałość oparła się chyba na wspólnocie ideowej, na równości umysłowej i wyrobieniu życiowym obojga partnerów, wśród których kobiecie przypadło stanowisko przodujące.

A przecież, przy tej męskości, czy też władczości kobiecej w stosunkach miłosnych, nie była ona jakoś virago, pozbawioną kobiecego wdzięku, predestynowaną do staropanieństwa emancypantką, odartą z powabu, bezpłciową istotą. Przeciwnie, dzieje jej są wyjątkowym w powieściopisarstwie polskim obrazem przebudzenia i rozkwitania kobiecości. Ze studentki, co „chodzi w przydeptanych trzewikach", która żyje jedynie głową, chciwie wzbogaca ją z dostępnych jej źródeł wiedzy, dumna wolnością myśli i śmiałą budową niezależnego poglądu na świat, z dziewczyny, przytwierdzającej teoretycznie „wolnemu rozporządzeniu sercem", ale która „miłości innej nie zna i znać nie chce nad miłość prawdy i nauki", „nauki i przez nią opanowania świata" — wyrasta w naszych oczach uroczą, czarującą otoczenie i umiejącą odczuwać czar miłości kobietą. Poprzez zawody i tragiczne doświadczenia pierwszych przygód miłosnych, z dna nieszczęść, sama wbrew woli wydarta śmierci, Żonia wraca potrochu do życia; wraz ze zdrowiem wraca jej strojność i zalotność; umie ująć nieprzedsiębiorczego wielbiciela serdecznością i niespodziewaną u niej przymilnością kobiecą. Scena uwodzenia w nocy zimową, w saniach, podczas zawiei — stanowi wyjątkowo sugestywny, pełen prawdy i barwności najwyższy przy technice „blanc et noir" obraz miłości, tchnący niezwykłą u 66-letniego pisarza siłą erotyczną. Dojrzewa w niej wspaniała kobieta, instynktownie i bez mizernej kalkulacji wytwarzająca sobie odpowiednie dla przepychu swej urody i dla bujności erotyki ramy zbytku, strojów, „sprzętów wytwornych i bogatych", zabaw, otoczenia: „a wszystko, co ją otaczało, podnosiło jej wdzięk oryginalny, drażniący, upajający".

Jest to może jedyna prawdziwa grande amoureuse literatury polskiej. Nawet heroiny Żeromskiego, który jedynie w tym wypadku narzuca się pamięci, nie mogą z nią iść w paragon: żadne żałosne nuty rozdarcia, świadomości grzechu, tragicznej kary, ograniczającej i umniejszającej jej poryw i piętnującej jej rolę, nie rozbrzmiewają w finale tej historii miłosnej.

Kraszewski, znakomity analityk uczucia miłości, daje jego rozwój w jeszcze innym przypadku, odmiennym od tylu zarysowanych przez siebie, pokazującym ewolucję od długotrwałej obojętności po świadome przechylenie się stosunku koleżeńsko - kuzynowskiego w stronę erotyki, z odmiennemi też niż w innych wypadkach namiętności miłosnej konsekwencjami: nie — ostateczna zguba i śmierć od szalejącej w powieściach Kraszewskiego epidemicznie gorączki pochodzenia psychicznego, lecz powolne wyleczenie amanta, po wykipieniu uczuć i ustatkowaniu się, rezygnacja z romantyzmu na rzecz filisterskiego bytowania. Przedtem jednak, we wspomnianym epizodzie Kraszewski z właściwem mu mistrzostwem roztacza raz jeszcze atmosferę fascynacji miłosnej, z tą różnicą, że kobieta, która urok ten wywiera jest dzisiejszemu czytelnikowi bliższa i zrozumialsza, od długiego szeregu romantycznych „wampów" wielkich dam i pozujących na nie salonowych zalotnic, które w powieściach Kraszewskiego swym nieokreślonym, jednocześnie duchowym i fizycznym czarem, mieniącym się w ich zwiewnych postaciach, gubią zarówno dojrzałych mężów jak i wchodzących w życie młodzieniaszków, tak samo rozmarzonych poetów, jak i rozczarowanych życiem mizantropów. W Żoni urok pełnego rozkwitu wyzwolonej kobiety nie ma nic wspólnego z manjerycznym wdziękiem lalki czy lwicy salonowej; łączy się on w odczuciu czytelników z sympatią do dzielnego, prawego człowieka, jakim jest Żonia w ujęciu Kraszewskiego. I on sam, wbrew założeniom ideowym powieści, nie umie się obronić przed sympatią, jaką w nim budzi zrodzona w jego wyobraźni postać: sympatia ta, niemniej dziwnym na pozór, a przecież charakterystycznym dla wielostronnej duszy Kraszewskiego, sposobem, ujawnia się też u niego, konserwatysty i dźwigającego siódmy krzyżyk starca, w stosunku do środowiska Żoni i jego atmosfery ideowej z jej ateizmem, z jej zuchwałem nieposzanowaniem autorytetów arrogującem sobie prawo absolutnych decyzyj de omni re scibili, z głośno proklamowaną wolną miłością. Mimowoli Kraszewski afirmuje rewolucyjność przedstawionego środowiska, jako ferment szlachetny, jako krok dalszy ku pełni człowieczeństwa, gdy „każdego człowieka zadaniem jest rozwijać się wedle sił swoich najpotężniej".

O tym niezamierzonym stosunku do środowiska decyduje osobistość bohaterki, w której Kraszewski, twórca tylu postaci kobiecych, tworzy jeszcze jedną, niepodobną do żadnej z pośród jej poprzedniczek ani następczyń zarówno we własnych powieściach, jak i w ogóle w literaturze polskiej. Dzięki temu żywiołowemu obiektywizmowi epickiemu, ujawniającemu się poza tym w stosunku do innych postaci występujących w powieści, zwłaszcza do tych, które z założenia ujemne, nigdy nie przeistaczają się jednak w „czarne charaktery" ani karykatury, zawsze w swym człowieczeństwie ratowano jakimś rysem dodatnim i prawdziwie ludzkim — Kraszewski, wbrew tendencji powieści, umie dać nawet obchodzącej go ogólnej sprawie emancypacji kobiecej niejeden rys trafny i potwierdzony przez dalszy rozwój sprawy. Zwłaszcza słuszny akcent jest położony na charakter moralno-obyczajowy emancypacji, w czym wykształcenie, zarobkowanie, samodzielność ekonomiczna, na które główny akcent kładli nieśmiali sympatycy ruchu kobiecego, były tylko środkami dopełnienia tej rewolucji, osiągnięcie głównego celu: zrównania kobiety z mężczyzną w zakresie obyczajowości, swobody towarzyskiej, a zwłaszcza norm obowiązującej etyki życia seksualnego. Był to w istocie „bunt kobiet", z hasłem zjawiającym się od razu na wstępie powieści w ustach bohaterki: „dosyć nas już niewolnicami było i sługami".

Z równą wiernością zostały ukazane i te cechy sposobu uzewnętrzniania się postawy ideowej rewolucyjnych rówieśników bohaterki, które odróżniają ich od pokolenia „ojców" i tworzą swoistość właściwą pokoleniu „synów". Ta swoistość wyrazu nowego pokolenia, w środowisku studenterii kijowskiej wspólna najczerwieńszej młodzieży polskiej i rewolucyjnemu radykalizmowi rosyjskiemu, przeciwstawiająca rozmarzonym entuzjastom epoki romantycznej — pojawiających się dopiero prekursorów następnej, pozytywistycznej, epoki, pokrewnych w niektórych rysach rosyjskim „nihilistom" i „narodnikom", ujęta została przez Kraszewskiego najwidoczniej niezależnie od literatury rosyjskiej, z głośną powieścią Ojcowie i dzieci Turgieniewa na czele. Pokrewieństwo między sławnym bohaterem tej powieści Bazarowem, reprezentantem rosyjskich rówieśników lekarza Żagajły, a tą ostatnią epizodyczną, ledwie naszkicowaną, postacią Szalonej jest bardzo istotne i sięga samego rdzenia ich psychiki, ale dla badacza genetyki literackiej nie przedstawia punktów zaczepienia, pozwalających mówić o zależności.

Swoją drogą, taka charakterystyka pokolenia, w którym zjawia się pierwsza studentka, musiała uderzyć trafnością szczególnie rosyjskich obserwatorów ruchu i u rosyjskiej publiczności znaleść większe zrozumienie niż u polskiej, która zjawisko mogła oglądać tylko w rzadkich, zupełnie wyjątkowych, egzemplarzach, i to nie na gruncie rodzimym z braku studentek w Szkole Głównej a później na Uniwersytecie Warszawskim, jak również na polskich wszechnicach pod zaborem austriackim, i wobec nieistnienia żadnego wyższego zakładu naukowego dla kobiet. Dlatego też powieść Kraszewskiego skwapliwie, równocześnie z jej pierwodrukiem w „Athenaeum" w r. 1880, została udostępniona publiczności rosyjskiej w popularnym dzienniku petersburskim „Nowoje Wremia", jeszcze nie całkowicie reakcyjnym w owym czasie, ale niewątpliwie przeciwstawiającym się wszelkim poczynaniom rewolucyjnym i nie sympatyzującym z ich nieuniknioną uczestniczką — „strzyżoną kursistką". Stanowiła ona w owym czasie w Rosji przedmiot pocisków satyrycznych ze strony tej części literatury, która niekoniecznie z powodów politycznych często zwalczała w imię idealizmu i haseł czystej sztuki raczej (jak w utworach znakomitego i b. już współcześnie czytanego poety, Aleksego Tołstoja, szczerego liberała i osobistego przyjaciela liberalnego cara Aleksandra II), poziomy jak jej się wydawało, materializm światopoglądowy radykalnej młodzieży. Wkrótce potem przekład niemiecki (1884), włączył Szaloną do międzynarodowej literatury kwestii kobiecej, zwłaszcza na terenie Szwajcarii.

W Polsce natomiast powieść nie znalazła żadnego echa, z wyżej wyłuszczonych ogólnych powodów, a także ze względu na właściwe jej oświetlenie kwestii. Sympatyków emancypacji kobiecej, jak wszystko u nas, dalekich od krańcowości i nieśmiałych w wyciąganiu konsekwencji z dopuszczonych raz założeń, raziła i niedwuznaczna tendencja autora i, z drugiej strony, wiązanie ze sprawą emancypacji uprawnienia wolnej miłości, jako jej konsekwencji. Niechętnych zaś emancypacji kobiecej nie mogła zadowolnić postać bohaterki, wzbudzająca raczej sympatię czytelnika, więc nie prowadząca by najmniej do uczuciowego potępienia jej zasad. Wynikiem takiej postawy obu zwalczających się w sprawie kobiecej odłamów opinii polskiej było zupełne przemilczenie książki: żadnej recenzji nie udało mi się odnaleźć we współczesnych czasopismach, głucho też o niej w ogólnych opracowaniach twórczości Kraszewskiego i tylko szczęśliwy dla mnie przypadek zwrócił na nią moją uwagę, dzięki czemu zostało naszkicowane, jako pierwsza praca na jej temat zacytowane powyżej studium o bohaterce powieści.

K. W. Zawodziński

ANKIETA CZYTELNIKÓW „KUŹNICY"

JAKICH DZIESIĘĆ KSIĄŻEK Z ZAKRESU LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ, NALEŻY W POLSCE WYDAĆ NAJSZYBCIEJ?

Zagadnienie celowej i planowej akcji wydawniczej po niepowetowanych stratach czasu wojny jest nadal otwarte. Przeraźliwych luk w naszych bibliotekach nie są w stanie wypełnić ani smętne resztki naszych zasobów przedwojennych, których zaledwie cząstka znajduje się w obiegu antykwarycznym, ani skromny plon dotychczasowej działalności wydawniczej dwu pierwszych lat powojennych, zwłaszcza, iż w działalności naszych firm wydawniczych trudno dopatrzeć się planu. Co więcej, produkcja wydawnicza z biegiem miesięcy i lat coraz bardziej kieruje się zasadami kalkulacji zarobkowej, coraz mniej rozumnymi wytycznymi polityki kulturalnej, zmierzającymi do wychowania odbiorcy wartościowej literatury. Trzeba zatem, aby nasi wydawcy dowiedzieli się, czego oczekują czytelnicy, w jakim stopniu chłonny jest rynek polski jeśli idzie o wartościową literaturę współczesną i klasyczną. Społeczeństwo pragnie książki. Zarówno nowej jak i dawnej, która w znacznej części jest dlań niedostępna. Pragnie mieć ją jak najszybciej, aby przy jej pomocy zaspokoić swe potrzeby zawodowe, kulturalne, potrzeby uczącej się młodzieży. W jakiej kolejności winny być wydane książki, których najbardziej nam brak? Jakie potrzeby winny być zaspokojone w pierwszym rzędzie?

NA TO PYTANIE MAJĄ ODPOWIEDZIEĆ CZYTELNICY „KUŹNICY" WYPISUJĄC I OPATRUJĄC KOLEJNYMI NUMERAMI PORZĄDKOWYMI NAZWISKA DZIESIĘCIU AUTORÓW I TYTUŁY DZIESIĘCIU KSIĄŻEK Z ZAKRESU LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ, DAWNEJ I NOWEJ, KTÓRYCH WYDANIE W CHWILI OBECNEJ W POLSCE UWAŻAJĄ ZA NAJPILNIEJSZE. ODPOWIEDZI PODPISANE IMIENIEM I NAZWISKIEM (PROSIMY PODAĆ ZAWÓD I WIEK), NALEŻY NADSYŁAĆ POD ADRESEM: ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 96, REDAKCJA „KUŹNICY" Z ZAZNACZENIEM NA KOPERCIE „ANKIETA CZYTELNIKÓW „KUŹNICY", NAJPÓŹNIEJ DO DNIA 1 MARCA 1947 ROKU WŁĄCZNIE. W WYPADKACH WĄTPLIWYCH ROZSTRZYGA DATA STEMPLA POCZTOWEGO.

POMIĘDZY 20 AUTORÓW ODPOWIEDZI NAJBARDZIEJ ZBLIŻONYCH DO LISTY DZIESIĘCIU KSIĄŻEK, KTÓRE W WYNIKU ANKIETY OTRZYMAJĄ NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ GŁOSÓW NASZYCH CZYTELNIKÓW, ROZDZIELONYCH ZOSTANIE DWADZIEŚCIA BEZPŁATNYCH BONÓW KSIĄŻKOWYCH, UPRAWNIAJĄCYCH DO KUPNA KSIĄŻEK NA KWOTĘ TYSIĄCA ZŁOTYCH. NIEZALEŻNIE OD TEGO REDAKCJA „KUŹNICY" NAGRODZI KWOTAMI 5.000, 3.000 i 2.000 zł. TRZY NAJCIEKAWSZE, KRÓTKIE (NIE PRZEKRACZAJĄCE 3 STRON MASZYNOPISU) UZASADNIENIA LISTY WYBRANYCH DZIESIĘCIU KSIĄŻEK, KTÓRE NASTĘPNIE ZOSTANĄ OGŁOSZONE DRUKIEM NA ŁAMACH „KUŹNICY".

TREŚĆ NUMERU:

Adam Schaff — **Humanizm socjalistyczny (I).** Stefan Żółkiewski — **Dwie znamienne książki.** Adam Ważyk — **Rozmaitości.** Zygmunt Mysłakowski — **Problem reedukacji Niemiec.** Adam Ważyk — **Na drewnianym koniu.** Jan Huszcza — **Magister Karasek zostaje burmistrzem.** Ryszard Matuszewski — **Powieść o grupie Dembińskiego.** Jan Baculewski — **Zagadnienie upowszechnienia kultury.** Jerzy Piórkowski — **O skierniewickich stelach i krakowskich ryngrafach. Kronika Radziecka.** Kazimierz Budzyk — **O książce Ignacego Fika.** Kandyd — **Tak toczy się światek. Przegląd Prasy, Korespondencja. Noty, Kolumna satyry.**

ŻANNA KORMANOWA

PAUL LANGEVIN NIE ŻYJE

Paul Langevin należał do tych nielicznych ludzi, którzy za życia jeszcze stają się wielkim symbolem idei i prądów nurtujących współczesność i których śmierć czyni wyrwę głęboką i bolesną w szczupłym kole intelektualnej elity ludzkości.

Urodził się w r. 1872 w Paryżu w rodzinie robotniczej. Całe jego długie życie związane jest najściślej z tym miastem. Fizyka była głównym przedmiotem jego wielostronnych zainteresowań od wczesnej młodości. Od 1888 roku uczeń Piotra Curie w Ecole de Physique et Chimie, wsławiony prowadzonymi wespół z Jeanem Perrinem pracami nad wyładowaniami elektrycznymi w gazach, stypendysta Cavendish Laboratory w Cambridge pod kierunkiem J. J. Thomsona, obejmuje od 1903 roku katedrę fizyki w Sorbonie, a od 1905 r. wykłady po Piotrze Curie w Ecole de Physique et Chimie. Obrany w 1934 r. na członka francuskiej Akademii Nauk, propagował we Francji idee fizyczne i epistemologiczne początkowo Rutheforda, następnie — Einsteina. Prof. Langevin jest nauczycielem prof. Joliot-Curie, a wieloletnia i głęboka przyjaźń z rodziną Curie uczyniła zeń serdecznego i wiernego przyjaciela Polski.

Ten wielki uczony był i — mimo poważnego wieku — pozostał gorącym społecznikiem. Admirator Jaurèsa, obrońca Dreyfusa w odległych latach pokoju; przyjaciel ZSRR od zarania zwycięskiej rewolucji, wierny tej przyjaźni przez całe życie; obrońca Andrzeja Marty i autor publicznego protestu przeciw inteligentom — łamistrajkom, umieszczonego na łamach „Humanité" w 1920 r.; wraz z Barbussem i Romain Rollandem uczestnik kongresu amsterdamskiego 1932 r., jednego z najwcześniejszych wystąpień intelektualistów świata przeciw faszyzmowi w obronie demokracji i pokoju, przywódca tego ruchu na terenie Francji; ojciec rodziny profesorów — demokratów, szczególnie zaprzyjaźniony ze swoim uczniem a następnie zięciem, Jakubem Salomonem, komunistą, zamordowanym przez Niemców w 1942 r. — prof. Langevin staje od pierwszych dni okupacji w szeregach Ruchu Oporu, służąc wiedzą i stosunkami patriotycznej partyzantce i konspiracji. W tych latach wielki uczony zetknął się bezpośrednio z rewolucyjnymi partiami francuskiego proletariatu, które przodowały w walce Francji z niemiecką okupacją. W 1944 r. 72-letni prof. Langevin wstąpił do Partii Komunistycznej.

Był pedagogiem z powołania, wykształcenia i temperamentu. Świetny absolwent Ecole Normale, nauczał sam przez długie dziesięciolecia, wychował pokolenie fizyków, interesował się teorią pedagogiki, brał najżywszy udział w pracach postępowych, lewicowych ugrupowań pedagogów francuskich. Od lat stał na czele „Société Francaise de Pèdagogie" i piastował godność prezesa w francuskiej grupie Ligi Nowego Wychowania, a w ostatnich latach życia przewodniczył Komisji powołanej przez rząd francuski dla spraw reformy kształcenia i wychowania, zwanej potocznie „Komisją Langevina". Profesor Langevin był duszą i natchnieniem tych prac, — wkładał w nie cały swój świetny mózg badacza i całe gorące serce społecznika.

Wprowadzeniem w krąg idei, które zapładniają te prace, jest jego piękny artykuł zamieszczony w Nr. 1 czołowego pisma intelektualnego lewicy francuskiej „Le Pensée"*). Z precyzją słowa wielkiego uczonego wypowiada tu prof. Langevin swoje szerokie pedagogiczne credo, które jest zarazem punktem wyjścia dla dalszych prac rządowej Komisji, a dotyczy podstawowego zagadnienia stosunku wzajemnego kultury i nauk humanistycznych.

„...Sprawa reformy szkolnej, prawdziwy kamień węgielny przebudowy naszej ojczyzny, wymaga jasnego widzenia celów i zasad systemu, który umożliwi każdemu dziecku najpełniejszy rozwój osobowości, który przygotuje każdego do działalności społecznie najużyteczniejszej i zgodnej z jego osobistą postawą i wysiłkiem".

„Kultura stanowi o kształtowaniu istoty ludzkiej od dzieciństwa, o przygotowaniu jej i najszerszym przystosowaniu do życia, do obcowania z przyrodą i społeczeństwem, do oddziaływania na świat rzeczy w zgodzie z społecznością ludzką". „Żadna forma przygotowania do zawodu nie powinna górować nad obowiązkiem szkoły doprowadzenia każdego dziecka do obcowania z kulturą... Do najściślej technicznego nauczania, do czynności manualnych włącznie, nie ma dziedziny kształcenia zawodowego wyzbytej walorów kulturalnych. Nie zapominajmy, że ręka człowieka stworzyła pośrednio jego mózg. Myśl rodzi się z działania i w wypadku normalnej ludzkiej istoty winna wyładować się w działaniu".

Zerwanie z kościelnymi pierwocinami szkoły, jej zeświecczenie w samej koncepcji organizacyjnej, w treści i metodach pracy, jej rzeczywiste zespolenie z życiem — to jeden z głównych postulatów jej przebudowy.

„Walczymy o jedność szkoły i życia, bytu i myśli, materii i idei, kultury ogólnej i kształcenia zawodowego... Szkoła winna zespolić się z przyrodą i z życiem, porzucać często mury sal szkolnych, by wracać do nich wzbogacona o obserwacje i doświadczenia, refleksje i rozważania, pobudzona przez... rzeczy widziane, przeżyte i odczute". Takie są cele szkoły na etapie pierwszym, etapie dzieciństwa, gdy kultura ma dla osobnika jeden tylko aspekt — osobisty. „W ten sposób rozszerzy się stopniowo widnokrąg dziecka, odkrywcze poznanie świata, który go otacza, lokalizacja w nim samego siebie i swego środowiska w coraz szerszym znaczeniu słowa, więc kroczenie po prawdziwej drodze kultury: od najbliższego do odleglejszego, od szczegółowego do ogólnego, od konkretu do abstrakcji, od indywiduum do ogółu, od interesu egocentrycznego do zainteresowań altruistycznych. I to zarówno w obcowaniu z ludźmi jako też ze światem rzeczy".

Drugi aspekt kultury, aspekt społeczny, występuje w chwili gdy dziecko przełącza się z grupy rodzinnej do społeczności szkolnej, gdy społecznie kształcące funkcje szkoły wysuwają się na plan pierwszy. „Szkoła winna nauczyć dziecko żyć społecznie, a w szczególności demokratycznie", rozwijając w uczniach podstawowe cnoty obywatelskie demokracji: „poczucie odpowiedzialności, świadomą dyscyplinę, poświęcenie dla dobra powszechnego, aktywność". Należy uzbroić każdego w świadomość wysiłków człowieka w przeszłości i teraźniejszości — „człowiek cywilizowany winien posiadać zdolność oceniania swojej epoki i siebie samego w perspektywie twórczego wysiłku ludzkości"; dlatego należy wprowadzić do nauczania na stopniu wyższym historię idei. „Gdy spojrzeć pod tym kątem na kulturę ogólną, to będzie nią to wszystko, co uczyniło człowieka na świat, a nie jest jego osobowością, co przekracza ciasne koło jego specjalności".

Myślenie genetyczne; poczucie organicznego związku z przeszłością i przyszłością rodzaju ludzkiego; „świadomość intymnych więzi pomiędzy działaniem przeszłym i obecnym, przygotowującym przyszłość; świadomość pokrewieństwa umysłów i pobratymstwa wysiłków" — oto, co pozwoli podjąć służbę społeczną bez naruszania autonomii osobniczej, w pełnej z nią harmonii. „W ten sposób na drodze powolnej i bolesnej ewolucji życia, rozpoczętej przed dwoma z górą miliardami lat, której wynikiem jest rodzaj ludzki, formy żyjące rozwinęły się i wzbogaciły stopniowo przez podwójny proces różniczkowania i całkowania. Oby każde dziecko ukształtowane przez naszą przyszłą szkołę opuszczało ją z przeświadczeniem, że podwójnemu obowiązkowi osobowości i solidarności przeciwstawiają się grzechy śmiertelne konformizmu i egoizmu"!

Humanizm wsparty na racjonaliźmie naukowym, taka była filozoficzna postawa duchowego przywódcy reformy szkolnej we Francji. Konsekwentny materialista i społecznik chciał budować nową szkołę na szerokiej bazie socjalnej, organicznie powiązaną z życiem, kształcącą w harmonijnej równowadze poznania i działania bogatą osobowość i rzetelną specjalizację.

Profesor Langevin był reprezentacyjną postacią w kole francuskich „universitaires", tej bardzo wyłącznej, ale też bardzo postępowej i światłej elity dzisiejszej Francji. Każda szersza inicjatywa, każda znaczniejsza kampania naukowa, kulturalna czy społeczna sięgała do tych kół i znajdowała tu niezawodne poparcie. Ta grupa stała się od lat żywym sumieniem Francji, a w miesiącach gorączkowej rekonstrukcji kulturalnej od wiosny 1945 roku na łamach „Pensée" staje się sumieniem Francji i Europy, zajmuje pozycje, których u schyłku pierwszej wojny światowej tak godnie broniła „Clarté" Henri Barbusse'a, George'a Duhamel'a i Romain Rolland'a, pozycje humanizmu zespolonego z nauką z wyzwoleńczą walką społeczną. Paryska „Pensée" zawiera szereg artykułów profesora Langevin'a, stanowiących w pewnym sensie jego testament ideowy.

Na wiosnę 1945 roku tuż po wyzwoleniu intelektualny Paryż obchodził uroczyście 73-cią rocznicę urodzin Paul Langevin'a. Została świadcząca o tym dniu uroczystym broszura: „Hommage à Paul Langevin"*). Towarzysze prac, oficjalni zwierzchnicy, uczniowie i przyjaciele sławili w pełnych uczucia słowach uczonego i człowieka. Rektor uniwersytetu paryskiego G. Roussy, profesor Aimé Cotton, profesor F. Joliot-Curie, przedstawiciele Ecole de Physique et Chimie, Collège de France, Académie de Chirurgie, luminarze nauki, przedstawiciele Ruchu Oporu, Ligi Praw Człowieka i Obywatela, Tymczasowego Parlamentu Francji — polityczne kierownictwo kraju; setka organizacji francuskich i zagranicznych, naukowych, oświatowych i politycznych; depesze ze wszystkich krańców Francji, z Londynu i Moskwy, z Chin i Belgii, z Waszyngtonu i Viet-Nam'u złożyły się na treść tej broszury. Trudno o hołd piękniejszy i bardziej spontaniczny. To wyzwolona z pęt faszystowskiej okupacji Francja, to triumfująca nad rasistowską barbarią zdobywcza myśl ludzka czciła w jubilacie człowieka, który przez całe życie walczył z ciemnotą i obskurantyzmem, uczonego, który wyniósł fizykę francuską na szczyty sławy światowej, Francuza, który w latach nazistowskiej przemocy stanął zdecydowanie w szeregach Ruchu Oporu, więziony i gnębiony, nie załamał się, nie ugiął. Poniósł osobiście ciężkie ofiary — aresztowany przez Gestapo w październiku 1940 roku, następnie deportowany do prowincjonalnej mieściny Troyes, musiał opuścić Francję, ukrywać się, przekradać za granicę szwajcarską. Zamordowano mu ukochanego zięcia, najzdolniejszego ucznia i świetnie zapowiadającego się współpracownika, 34-letniego prof. Jakóba Salomona. Zamknięto na lata w oświęcimskim obozie ukochaną córkę Helenę. Więziony w paryskiej la Santé, pozbawiony papieru, atramentu i ołówka prof. Langevin prowadził na murze celi końcem zapałki rachunkowe dociekania naukowe. Na jednym z przesłuchań z ust nazistowskiego pułkownika padło oświadczenie, że Langevin jest dla hitleryzmu równie niebezpieczny, jak encyklopedyści XVIII stulecia byli dla absolutyzmu i starego porządku. To zaszczytne dla profesora Langevina stwierdzenie nie mijało się z prawdą. Społecznik w Langevin'ie miał hart rewolucjonisty, uczony miał odwagę wyciągania najdalszych konsekwencji epistemologicznych. Teoria wiązała się w nim organicznie z praktyką, myśl z działaniem.

Jego postawę naukową charakteryzują przytoczone przeżeń w jednym z ostatnich artykułów**) cytaty z Pasteura:

„Nauka wie, że nie nauczy się niczego z żadnej spekulacji metafizycznej".

„W naukach doświadczalnych błędem jest nie wątpić, dopóki fakty nie zmuszą nas do pozytywnych stwierdzeń".

Wiele światła na osobę Langevina rzuca dyskretne ale zdecydowane podkreślenie rozbieżności, jaka istniała między Pasteurem - badaczem a Pasteurem - obywatelem: „Nawet w myśli nie usiłował pogodzić nauki z dogmatyką społeczną, polityczną czy religijną... Wolał nie ryzykować i klasyfikuje pod znakiem nieskończoności wszystkie niepokojące problemy". Inaczej postępował przez całe swe życie Paul Langevin.

Droga naukowa Langevina prowadziła przez wielkie przyjaźnie z pierwszymi badaczami świata. Żarliwa i wieloletnia przyjaźń łączyła go z domem państwa Curie na Boulevard Kellerman i z ich sąsiadem Jean Perrin'em. Z tego czasu datowała się również zażyłość z Aimé Cotton'em, z Debierne'em, Urbain'em, Sagnac'em, Borel'em. Rok spędzony w Cambridge zacieśnił zażyłość z Rutheford'em i Wilson'em. Gorący wyznawca i propagator teorii względności Langevin nawiązał ścisły kontakt z Einstein'em. W późniejszych latach nawiązał przyjazny kontakt z wielkimi fizykami ZSRR, z Joffe'm, Kapicą i Wawiłow'ym.

Główną dziedziną prac profesora Langevina była dziedzina elektryczności. Badał ionizację gazów, wytłumaczył istotę ionizacji gazu pod działaniem promieni Roentgena, wykrył istnienie w atmosferze wielkich ionów o masie sięgającej kilku tysięcy molekuł. Termodynamiczne wyjaśnienie tego faktu pozwoliło Langevinowi wytłumaczyć pewne zjawiska w atmosferze kuli ziemskiej. Wsławił się klasycznie jasnym wykładem o magnetyźmie, w którym potrafił dać przejrzystą syntezę wieloletnich prac Piotra Curie, dzieląc wszystkie ciała na dia-, para- i ferromagnetyczne i łącząc magnetyczne właściwości ciał z ich strukturą atomową. Tak powstało głośne prawo Langevin'a dla ciał paramagnetycznych. Prace nad ultra-dźwiękiem doprowadziły go do zgoła niespodziewanych rezultatów: ich zastosowanie dla wykrywania łodzi podwodnych, przekazane przez Langevin'a do użytku sztabów generalnych Francji i jej sojuszników, sprawiło, że tak groźny w poprzedniej wojnie korsarski oręż Niemiec nie odegrał większej roli w latach drugiej wojny światowej. Należał do pokolenia fizyków, którym wypadło w ogniu teorii względności i teorii kwantów poddać zasadniczej rewizji podstawowe pojęcia czasu, przestrzeni, istoty i budowy materii i zjawisk promieniotwórczych. W jego oczach i przy jego twórczej współpracy rodził się nowy dział fizyki, fizyka jądra atomowego, zapoczątkowanie nowej ery nie tylko w dziejach nauk fizycznych, ale zapewne w dziejach cywilizacji. Olśniewające i olbrzymie perspektywy związane z tą nową zdobyczą nauki stały się tematem większego artykułu Paul Langevin'a w wrześniowym numerze „Pensée"*) z 1945 r.

„Jesteśmy świadkami narodzin nowej ery, ery sztucznie wywołanych przemian pierwiastków. Otwierają się przed nami perspektywy przekraczające dawne marzenia alchemików. Nie chodzi odtąd o wykrycie tajemnicy syntezy złota, która niczym nie pomnożyłaby szczęścia ludzkości, ale o przekazanie do użytku człowieka niewyczerpalnych zasobów energii, utajonych przez samą naturę w sercu atomu, skoncentrowanych w jądrze atomowym..."

Ludzkość posługiwała się ongi energią mechaniczną zawartą w mięśniach niewolników i zwierząt pociągowych, następnie przeszła do użytkowania sił powietrza i wody; dopiero od końca XVII w. od wynalezienia maszyny parowej nauczyła się użytkować drzewo, węgiel i ropę naftową dla spowodowania przemiany ciepła na pracę. Wszystkie te źródła energetyczne sycily się promieniami słońca. Dopiero odkrycie ciał promieniotwórczych wyjaśniło, że źródłem energii słonecznej jest rozpad atomów. Stwierdzono, że spalenie kilograma węgla wyzwala 20 milionów razy mniej energii, aniżeli odbywający się na słońcu rozpad jednego kilograma wodoru. Zjawisko spontanicznego rozpadu atomów badane od końca XIX w. przez Becquerel'a, przez małżonków Curie, przez Rutheford'a, Soddy'ego, Debierne'a doprowadziło do pogłębienia teorii atomowej. Dalszym krokiem było odkrycie neutronów i protonów, budulca jąder atomowych. Pionierskimi na drodze sztucznie spowodowanego rozpadu atomów były prace Rutheforda sprzed lat 30-stu. Dopiero odkrycie sztucznej promieniotwórczości, dokonane w 1934 r. przez małżonków Joliot-Curie, pchnęło naprzód sprawę sztucznie powodowanej i kierowanej przemiany pierwiastków — w ciągu kilku lat uzyskano drogą bombardowania

*) La Pensée. Revue du rat'onalisme moderne. Nr 1, X — XII 1944, str. 25—31, „Cultura et Humanité".

*) Cahiers de l'Université Libre Nr 3. Union Française Universitaire.

**) Pasteur, le savant et l'homme. La Pensée Nr 7, 1946, str. 3—10.

*) L'ère de transmutations, „Pensée", Nr 4, VII—IX 1945, Str. 3—16. Istnieje przekład polski pt. „Era przemian", wyd. „Książki", Biblioteka Popularno-Naukowe.

przez protony i neutrony istniejących w przyrodzie jąder atomowych ponad 700 rozmaitych sztucznie promieniotwórczych ciał. Na tej drodze uczeni zrealizowali koncepcję bomby atomowj. Chodzi o od-

Od prawej do lewej: Ambasador R. P. dr St. Skrzeszewski, prof. Paul Langevin.

wrócenie sprawy na pożytek człowieka. Dla zaspokojenia energetycznych potrzeb Francji na przeciąg roku wystarczy przemiana dziesięciu ton uranu, czyli jednego wagonu uranu. Dałoby to każdemu Francuzowi równoważnik pracy 10 silnych robotników, „tak iż każda średnioliczna rodzina miałaby do swojej dyspozycji dla zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb czterdziestu do pięćdziesięciu niewolników, nieskończenie powolnych i dyskretnych, nie wymagających ani pożywienia, ani mieszkania, ani troskliwości... To wyzwolenie materialne spowodowałoby wyzwolenie duchowe, rozwój kultury, wywołany nie tylko wczasem, jaki wszystkim gwarantuje, ale również koniecznością konstruowania i kierowania coraz subtelniejszymi i coraz bardziej złożonymi maszynami".

Ale na to, by wielkie osiągnięcia geniuszu ludzkiego były użyte na pożytek a nie na zgubę człowieka, trzeba walczyć o taki ustrój polityczno-społeczny, który sprzyja rozwojowi nauki, który broni korzyści społeczeństwa, który służy potrzebom milionów a nie interesom garstki. I dlatego wielki fizyk już na długo przed wstąpieniem do partii komunistycznej sprzymierzał się w pracy i w walce z ruchem robotniczym, z ruchem antyfaszystowskim, z wyzwoleńczym Ruchem Oporu.

Po raz ostatni profesor Langevin udzielił się szerszej publiczności, gdy przewodniczył pierwszemu po wojnie Kongresowi Ligi Nowego Wychowania, odbytemu w Paryżu na przełomie lipca i sierpnia br. Wszystkim uczestnikom Kongresu pozostało żywe wspomnienie wytwornego starca, ujmującego prostotą i serdecznością, zadziwiającego młodzieńczą nieomal żywością, pełnego dowcipu o odcieniu subtelnej ironii, promieniującego rzetelną i głęboką kulturą. Langevin przykuwał do siebie uwagę głową rasowego intelektualisty. Wnikliwe, uważne, mądre spojrzenie było spojrzeniem badacza. Napięcie w twarzy zdradzało stałą pracę myśli i wyczulenie systemu nerwowego, poddanego surowym rygorom woli. Widoczne znużenie, ukryte pod staranną maską uprzejmej uwagi, świadczyło dowodnie, że siły witalne tego człowieka wyczerpują się jawnie i szybko. Ale temperament społeczny i wieloletni nawyk sprawiały, że profesor wymógł na sobie i na swym zatroskanym o jego zdrowie otoczeniu pełny udział w pracach Kongresu — otwierał je pięknym przemówieniem w auli Sorbony, przewodniczył osobiście posiedzeniom plenarnym, bywał na przyjęciach i prelekcjach wieczornych, niestrudzony prezes i niewyczerpany w gościnności gospodarz. A liczył sobie lat 74 z górą.

Wówczas latem wypadło mi odwiedzić profesora Langevin'a w jego gabinecie pracy na rue Vauquelin, gdzie mieszkał na terytorium laboratoriów. W dużym parterowym pokoju, widnym, ale jakby zakurzonym i niewietrzonym, oko przybysza przykuwają ściany. Zabudowane aż pod sufit regalami dźwigają setki segregatorów ustawionych w porządku chronologicznym — kompletną kartotekę prac prowadzonych od roku 1885 aż po rok 1946. Na grzbietach segregatorów można odczytać wszystkie sławne nazwiska fizyków i chemików świata, poczynając od Piotra i Marii Curie. Z górą pół wieku wysiłków, dociekliwych badań, zaczętych koło spraw cząsteczki, skierowanych ku tajemnicy atomów, sięgających dziś w głąb atomu i otwierających nieogarnione perspektywy nowej ery — nasza stara cywilizacja, cywilizacja ognia i żelaza, oparta na użytkowaniu energii ionów i molekuł, ustępuje miejsca nowej, nieporównanie potężniejszej, sięgającej po energię międzyatomową, po energię jądra atomowego, po materię syntez sztucznych i kierowanych.

W promieniu słonecznym wirowały miliony pyłków na tle czarnych grzbietów kartoteki. Profesor Langevin, bardziej surowy i oschły, jakby nieobecny mimo całą uprzejmość zbiorowo prowadzonej rozmowy, stawał się w tym gabinecie wtajemniczonym tutorem ogromnego dorobku wiedzy, zamkniętej w kartotekach, dostojnym magiem nauki. Spojrzenie zza szkieł ślizgało się po twarzach rozmówców, badawcze i czujne, ale skupione gdzieś w sobie. Nad prostą linią nosa wyrosła pionowa zmarszka, mięśnie twarzy stężały, z widoczną dbałością utrzymane siwe wąsy i mała hiszpańska bródka nadawały ton uroczystej oficjalności dostojnej głowie uczonego. Takim go zapamiętałam. **Żanna Kormanowa**

DYSKUSJA O MINISTERSTWIE KULTURY I SZTUKI (III – IV)

LEON KRUCZKOWSKI

ODPOWIEDŹ ROZMÓWCOM „KUŹNICY"

Nie to jest dziwne, że w „Rozmowach" „Kuźnicy" mówiło się tym razem o Ministerstwie Kultury i Sztuki; dziwić może jedynie to że rozmówcy byli tak słabo przygotowani do dyskusji na ten właśnie temat. A przecież — kogo jak kogo, ale ludzi „Kuźnicy" obowiązuje dziś odpowiedzialność za każde sformułowane zdanie, rzetelna znajomość poruszonych spraw, lojalność w stosunku do faktów.

Demagogię zostawmy pp. Dzikowskim.

Niestety, przykre słowo „demagogia" nasuwa się kilkakrotnie podczas lektury ostatnich „Rozmów". Już w chwili startu z ust Żółkiewskiego pada słowo, które podda ton dyskusji narzuci jej klimat: „chciałbym abyśmy pomówili o **osławionej** już dziś instytucji..."

Co się tyczy — sympatycznego skąd inąd — towarzystwa, zebranego przy stole „Kuźnicy", myślę, że ono zbyt nonszalancko, zbyt łatwo rozprawia się z zagadnieniami, nad których rozwiązaniem zbyt długo jeszcze i mocno będą sobie ludzie w Polsce łamać głowy. Tę łatwość, tę nonszalancję, możemy od biedy zrozumieć u kogoś kto ma prawo w danej dziedzinie być tylko „kibicem". Trudniej usprawiedliwić ją w ustach ludzi, którym takie prawo w tym wypadku nie przysłoi.

Sprawy, którymi się zajmuje Ministerstwo K. i S. są trudne nie tylko dlatego, że rozwiązywanie ich w tej skali jest w Polsce zupełną nowością. I nie tylko dlatego, że — w przeciwieństwie do innych resortów państwowych — ministerstwo to jest resortem bez precedensu (epizod z r. 1919 możemy spokojnie pominąć), że nie odziedziczyło — jak inne ministerstwa — ani doświadczeń, ani form organizacyjnych, ani najskromniejszej bodaj kadry ludzkiej. Sprawy, którymi się zajmuje Ministerstwo K. i S. są trudne, przede wszystkim dlatego, że są to sprawy z natury swojej najmniej posłuszne woli organizatorskiej, najmniej podatne dla celowych, racjonalnych poczynań normatywnych, dla planowego kształtowania. Są to sprawy, w których element „jakościowy" znamiennie i doniośle przeważa nad „ilościowym".

Czy stąd wniosek, że trzeba się wyrzec wysiłków zmierzających do organizacyjnego owładnięcia sprawami sztuki i kultury w Polsce, do planowego w tych trudnych sprawach gospodarstwa? Nie, na szczęście, uczestnicy „Rozmów „Kuźnicy" wręcz takiego wniosku nie zgłaszają. Kwestionują natomiast mniej lub więcej energicznie, celowość i słuszność skupienia tych wysiłków w rękach państwa, w resorcie rządowym, konkretnie: w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Przyczym w przebiegu dyskusji można rozróżnić dwa wątki: w jednym mówi się o konkretnym, aktualnie działającym resorcie, w drugim — o Ministerstwie „w ogóle", jako ośrodku dyspozycji rządowej, państwowej, w dziedzinie kultury i sztuki

Nie mam zamiaru prostować wielu drobnych i grubszych, powiedzmy delikatnie, nieścisłości i „gaff" w wypowiedziach dotyczących dzisiejszego Ministerstwa (dla przykładu tylko: lektorzy komisji repertuarowej, których Żółkiewski określa jako „niefachowych", to m. in. Iwaszkiewicz, Schiller, do niedawna Osterwa). Można nie interesować się nawet „osławioną" instytucją, ale jeśli się już o niej mówi, zwłaszcza krytycznie i z wielką pewnością siebie, wypada może to i owo wiedzieć...

Trudno mi jednak nie zatrzymać się nad jednym bardzo ważkim zarzutem, postawionym Ministerstwu przez rozmówców „Kuźnicy". Powiada Żółkiewski: „Dzisiejsze Ministerstwo **nie współpracuje ze związkami artystycznymi**". A Ważyk jeszcze dobitniej. „Ministerstwo **...z zasady uchylało się od zaspokajania potrzeb wysuwanych przez związki...**"

Trzeba się zatrzymać nad tymi zdaniami nie tylko dlatego, że tu bez zająknienia powiedziano rzecz **kłamliwą**. I nie tylko dlatego, że powiedziano rzecz **krzywdzącą** dla wszystkich kierowniczych pracowników Ministerstwa, z których każdy bez wyjątku jest członkiem tego czy innego związku artystycznego. Ale i dlatego przede wszystkim, że chodzi tu o jedno z kluczowych zagadnień naszego życia kulturalno - artystycznego.

Naprzód stan faktyczny. Ministerstwo **współpracuje** ze związkami artystycznymi — i może fakt tej współpracy obficie udokumentować. A jeśli w dokumentach znaleźć można takie, które powiedzą o tym czy innym zaniedbaniu, błędzie czy „grzechu" Ministerstwa wobec związków, zapewniam, że znajdują się wśród nich i takie, które — zaiste — lepiej byłoby wymazać z kronik tego czy innego związku.

Nie wywołujmy wilków z lasu...

Zgódźmy się w jednym: współpraca Ministerstwa ze związkami istnieje, choć stopień jej intensywności i ścisłości jest różny na różnych odcinkach sztuki. Czego nam — i Ministerstwu i związkom — brakuje, to przede wszystkim: po pierwsze — funduszów, po wtóre — ostatecznej, wyraźnej koncepcji współpracy. Koncepcji, któraby określała zakres działania obu czynników, ich właściwą rolę, ich udział w kształtowaniu życia kulturalno - artystycznego w nowej Polsce.

Fundusze — i koncepcja współpracy.

Chyba się nie omylę, jeśli z „Rozmów" wysnuję, jako dominującą tezę, co do której zgodni są wszyscy rozmówcy następujący pogląd na temat „państwo a sztuka":

Państwo powinno dawać pieniądze, możliwie dużo pieniędzy na sztukę i artystów. Do tego nie potrzeba Ministerstwa, bo ono „zjada" część pieniędzy, a poza tym „w kulturze nie ma czym administrować". Wystarczy zamiast Ministerstwa niewielki urząd dla dystrybucji funduszów, przyczepiony np. do Prezydium Rady Ministrów. Natomiast właściwymi ośrodkami pracy organizacyjnej i ideowej w dziedzinie sztuki, ośrodkami planowania normowania, nadzorowania itp. powinny stać się związki artystyczne.

W sformułowaniu powyższym — a wyraża ono, sądzę, dość wiernie konkluzję „Rozmów" — uderza przede wszystkim nieoczekiwane, jak na to grono rozmówców przypuszczenie, że w ustroju demokracji ludowej, zwłaszcza w jego fazie początkowej, państwo może wyrzec się własnej, mniej lub więcej aktywnej polityki kulturalnej. Prowadzenie takiej polityki nie należy do zadań dla państwa najłatwiejszych, zwłaszcza, że i rezultaty jej nie mogą być tak uchwytnie, tak precyzyjnie i tak z miesiąca na miesiąc sprawdzalne, jak sprawdza się np. rezultaty polityki gospodarczej — tonażem wydobycia węgla czy sprawnością ładunkową portów. Niemniej, państwo rezygnować z niej nie może — bez względu na to, jak daleki od doskonałości byłby instrument rządu, do tych zadań powołany.

Instrument ten w danym wypadku — Ministerstwo Kultury i Sztuki — napewno nie jest doskonały, chociaż dziś sprawniejszy i bogatszy w możliwości, a przede wszystkim w konkretny dorobek — niż przed półtora rokiem. Ale — czy jest on rzeczywiście nadmiernie rozbudowany, a przez to kosztowny, czy istotnie konsumuje na swe własne, aparatowe wydatki, jakiś rażąco wysoki odsetek budżetu resortowego?

Kol. Żółkiewski jest posłem do Sejmu. Będzie miał wkrótce możność studiować budżet państwowy. Jeśli zada sobie nieco trudu, łatwo obliczy, że Ministerstwo K. i S. jest jednym z najtańszych resortów naszego rządu — przy uwzględnieniu wszystkich istotnych relacyj kto wie czy nie najtańszym w sensie „kosztów własnych".

Czy kol. Żółkiewski i jego towarzysze z „Kuźnicy" sądzą, że proponowane przez nich rozparcelowanie Ministerstwa i przeniesienie jego agend i zadań na związki artystyczne i ewent. inne odrębne instytucje — oznaczać będzie „potanienie" kosztów administracyjnych, likwidację „nadmiernego" aparatu biurokratycznego? Przecież już dzisiaj, przy stosunkowo wąskim zakresie działalności, skupionej głównie na doraźnych sprawach zawodowych, związki artystyczne posiadają swoją „biurokrację" — i wcale nie jestem pewny czy aby liczba płatnych funkcjonariuszy choćby Związku Literatów nie przewyższa obsady personalnej Departamentu Literatury, mającego — poza sprawami Związku — sporo konkretnych agend: finansowych, prawnych, wydawniczych etc.

Ustalmy — w tej materii — jeden fakt bezsporny: każdy milion, każde sto tysięcy funduszów publicznych wymagają pewnej obsługi administracyjnej, której rozmiary wyznacza w pewnym stopniu merytoryczna treść zadań związanych z ich wydatkowaniem. Inna rzecz jednak dążyć do możliwie niskich kosztów tej obsługi, inna zaś — atakować w ogóle problem „administracji" w sposób demagogiczny, zalatujący nie tyle nowoczesną „Kuźnicą" ile raczej artystowską knajpą z czasów „Młodej Polski".

Ale nie to jest najważniejsze.

Chcę zadać Żółkiewskiemu i tow. pytanie najbardziej istotne w omawianej sprawie: Czy nasze artystyczne związki zawodowe w obecnym stanie rzeczy mogłyby podjąć się zadań wchodzących w skład pojęcia **narodowej polityki kulturalnej?** Czy mogłyby podjąć się tych zadań w oparciu tylko o jakiś miniaturowy (choćby najszczodrzej wyposażony w fundusze) dystrybucyjno - subwencyjny urząd (Fundusz Kultury Narodowej?), nie obciążony zakresem działania w skali dzisiejszego Ministerstwa?

Chciałbym być dobrze zrozumianym. Nie chodzi mi w powyższym sformułowaniu o możliwości związków w sensie techniczno - **administracyjnym** czy personalnym. Nie wątpię, że nasze zrzeszenia artystyczne dysponują do

Scena recytacji fragmentu z „Odysseji".

stateczną ilością ludzi z talentami organizacyjnymi, tak samo jak nie wątpię, że ci ludzie stworzyliby sobie odpowiednie aparaty, właśnie: „biurokrację" jeśli nie liczniejsza to napewno w sumie nie mniej liczną niż aparat Ministerstwa. Nie, chodzi mi o sprawy bardziej zasadniczej natury.

Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że znam dobrze i życie związkowe (przed wojną i po wojnie), i całą blisko dwuletnią praktykę Ministerstwa, i — wreszcie — wszystkie dotychczasowe doświadczenia z zakresu wzajemnych stosunków między związkami i Ministerstwem. Właśnie dlatego nie jestem skłonny do uprawiania łatwej demagogii i mam odwagę mówienia — jeźli trzeba — rzeczy niepopularnych.

Myślę, że nasze artystyczne związki zawodowe reprezentują tylko jedną — prawda, że arcyważną! — część zagadnienia zwanego narodową polityką kulturalną. Reprezentują to zagadnienie od strony twórcy i pracownika kultury, pisarza, artysty. Reprezentują, mówiąc ściślej, pewien określony stosunek do tego zagadnienia: stosunek producenta, dostarczyciela, twórcy czy odtwórcy dóbr kult. - artystycznych.

Ludziom z „Kuźnicy" nie trzeba oczywiście mówić, kto reprezentuje drugą stronę zagadnienia. Myślą o tym, pisują o tym, wiedzą, że sprawa składa się z dwóch części, ale „gdy przyjdzie co do czego" — wypowiadają się raczej jak pisarze „w ogóle", jak członkowie jednego ze związków „w ogóle", a nie jak pisarze „Kuźnicy".

Ta jednostronność postawy jaką twórcy, artyści i ich organizacje zawodowe — ze względów po prostu funkcjonalnych — reprezentują w całości zagadnienia polityki kulturalnej, może być korzystnie modyfikowana w zależności od stopnia „uspołecznienia" środowisk artystycznych. Używam tego wieloznacznego terminu, jako skrótu określającego nie tylko stanowisko ideologiczne artysty, ale i jego pozycję jako producenta określonych wartości, określonych dóbr, mających obieg społeczny. W tym pojęciu „uspołecznienia" mieści się m. in. uznanie konieczności pewnego racjonalizmu, pewnych sensowych rygorów w organizacji życia artystycznego — konieczności, która by choć w części nadążyła za ogólnym rozwojem nowoczesnej techniki społecznej.

I otóż powiedzmy sobie szczerze: stopień uspołecznienia — w tym szerokim sensie — naszych środowisk artystycznych jest jeszcze wciąż, niestety, dość nikły. Tendencje elitarystyczne, nałogi „cyganeryjne", skłonność do klanowego stylu egzystencji i klanowego myślenia — wszystkie te, mocno przestarzałe, remanenty przeżytych form życia tkwią dotąd bardzo mocno w tych środowiskach i przezwyciężenie ich potrwa jeszcze bardzo długo.

W tym stanie rzeczy trudno się dziwić, że nasze związki artystyczne— choć, stwierdzam to raz jeszcze, Ministerstwo od początku „postawiło" na ścisłą z nimi współpracę — nie wykazują jak dotąd, jakichś istotnych inicjatyw, które by zmierzały do rozwiązywania szerszych problemów, wchodzących w skład pojęcia polityki kulturalnej kraju, a związanych z przemianami ustrojowymi i społecznymi w nowej Polsce.

Pytam otwarcie: Z jaką konkretną inicjatywą, z jaką ważną akcją w dziedzinie polityki literacko - kulturalnej wystąpił w ciągu dwóch lat powojennych Związek Literatów? Organizacji tej daje państwo „tylko" 6 milionów rocznie, ale zapewniam, że na każdą słuszną, społecznie i kulturalnie pożyteczną inicjatywę związku znalazłyby się zawsze środki dodatkowe. Niestety, inicjatyw takich nie było — a te, które wychodziły z Ministerstwa, nie znajdowały w związku praktycznego oddźwięku.

Nie tylko zresztą w Związku Literatów. Chcieliśmy w lecie ub. roku przy pomocy ZASP-u podjąć pierwsze kroki, zmierzające do wprowadzenia w Polsce pewnej celowej, racjonalnej, koordynowanej procedury formowania zespołów teatralnych, stopniowego likwidowania t. zw. giełdy aktorskiej, instytucji przestarzałej, przykrej i demoralizującej, społecznie szkodliwej — kroki, mające na celu pewną, względną przynajmniej stabilizację bytu aktora, ściślejsze niż dotąd związanie go ze środowiskiem, w którym i dla którego pracuje. Takich rzeczy nie można robić środkami administracyjnymi, w realizacji ich musi współdziałać przede wszystkim organizacja samego aktorstwa. Niestety, jak dotąd nie wykazała ona żadnego praktycznego zrozumienia dla tej sprawy — sprawy, która nie zejdzie z porządku dziennego jeśli mamy konsekwentnie dążyć do jakiejś sensownej koncepcji organizacyjnej naszego życia teatralnego.

Mógłbym wyliczać dalsze tego rodzaju przykłady. Dowiodłyby one i dowodzą, że nasze związki artystyczne — mimo pozytywnych na ogół deklaracyj programowych — tkwią jeszcze mocno na pozycjach wczorajszych, nie nadążają za gwałtownymi dziś przeobrażeniami, nie tylko w strukturze naszego życia narodowego ale i w samej — jak to już powiedziałem — technice społecznej. Zamykanie oczu na ten fakt i uprawianie w rezultacie demagogii „związkowej" jest szczególnie niezrozumiałe u pisarzy zespołu „Kuźnicy".

Konkluduję. Współpraca ze związkami jest — i musi być — podstawą działalności Ministerstwa K. i S. Dalecy jeszcze jesteśmy od jasnej, sprecyzowanej koncepcji tej współpracy. Będzie ona dojrzewać w miarę uaktywniania się postawy społecznej środowisk artystycznych. Każdy istotny, nie deklaratywny tylko, krok w tym kierunku będzie z pewnością wzmacniał i rozszerzał rolę, znaczenie związków artystycznych w kierowaniu polityką kulturalną kraju.

Obawiam się jednak, że głosy tego rodzaju jak te, które ostatnio usłyszeliśmy w „Kuźnicy", nie przyczyniają się do pomyślnego rozwoju omawianej sprawy. Mogą one jedynie dezorientować opinię publiczną i utrudniać pełne zrozumienie wagi zagadnień kulturalno - artystycznych wszędzie tam, gdzie tego zrozumienia nie ma jeszcze w dostatecznej mierze.

Mógłbym właściwie zakończyć na tym moją odpowiedź kolegom i towarzyszom z „Kuźnicy". Ale w rozmowie ich o Ministerstwie K. i S. jest jeszcze pewien moment, którego nie wolno mi pominąć.

Mam na myśli ten ton wyniosłego lekceważenia, ton wzgardliwych pokpiwań, w jakim rozmówcy „Kuźnicy" mówią o pracownikach Ministerstwa, a zwłaszcza jego placówek wojewódzkich — ton, który kulminuje, ustami Żółkiewskiego, w ślicznym epitecie „dzikoludy". Cóż to, u licha, za wybredne towarzystwo w tej „Kuźnicy", cóż za nobliwa „haute volée" naszej demokracji! Skąd ten obrażający bezceremonialnie stosunek do ludzi(często przytym kolegów związkowych) najofiarniej nieraz pracujących dosłownie za grosze! Ludzi, z których niejeden znacznie więcej zdziałał i działa dla kultury polskiej niż ten czy ów ze stałych bywalców łódzkiego „Klubu Pickwicka"!

Jak to zrozumieć — powiedzcie, towarzyszu i pośle Żółkiewski?

Leon Kruczkowski.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

REPLIKA

Odpowiedź Leona Kruczkowskiego ma ton rozdrażnienia. Może i słusznie, jeśli odczuł naszą rozmowę jako krytykę „nonszalancką". Nie było to naszym zamiarem.

Czytelnik pism polskich przyzwyczajony jest do stylu artykułów. Otóż nowy na naszym gruncie „gatunek" — „rozmowy" — nie jest i nie ma być luźnym zlepkiem wygładzonych artykulików. Ma właśnie styl rozmowy — chropowaty, uzupełniony domyślną gestykulacją, domniemanym uśmiechem. Trzeba go trochę inaczej czytać, aby odczuć jego prawdziwy ton.

Niedobrze, że w „odpowiedzi" Kruczkowskiego jest ton niechęci do „producentów" kultury w ogóle, nie tylko do rozmówców z „Kuźnicy".

Rozmowa „Kuźnicy" była zagajeniem dyskusji. Jak mogę sądzić z nadesłanego już materiału, dyskusji bardzo potrzebnej. Głosy Kuźnicowców były tylko wyrazem ich istotnej troski i próbą sformułowania propozycji. Jeśli miały czasem ton emocjonalny goryczy i zniecierpliwienia — to jednak część chyba winy ponosi tu i temat i te błędy, które w naszej polityce kulturalnej widzi, jeśli nie każdy, to przynajmniej bardzo wielu.

Kol. Kruczkowski ułatwił sobie zadanie wybierając tylko parę spośród wielu wysuniętych problemów. I ja nie poruszę w mojej replice wszystkich spraw. Będzie na to czas w toku dyskusji. Tu ograniczę się — dla jasności przyszłej wymiany zdań — do uwydatnienia twierdzeń rozmowy „Kuźnicy", które „odpowiedź" Kruczkowskiego formułuje niezgodnie z intencjami rozmówców.

A więc: 1) Nie jest jak chce Kruczkowski, **kłamliwym** nasze twierdzenie, że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie współpracuje ze Związkami Zawodowymi artystów. Kruczkowski w toku swego artykułu sam mówi, że ta współpraca jest raczej pozorna. Przyczynę widzi w małym uspołecznieniu artystów i małej aktywności ich Związków. Gotów jestem (z zastrzeżeniami!) zgodzić się na tę diagnozę. Ale właśnie pierwszym zadaniem rozumnej i dalekowzrocznej polityki kulturalnej państwa jest aktywizacja tych Związków. Wciągnięcie ich do społecznego działania kulturalnego przez narzucenie im odpowiednich zadań, przez znalezienie dla nich właściwego miejsca w systemie polityki kulturalnej. Tak jak państwo ludowe oparło się na związkach robotniczych, tworząc dla nich nowe zakresy działania przez właściwe sformułowanie ustaw o funkcjonowaniu i zarządzie przemysłem uspołecznionym.

2) Rozmówcy „Kuźnicy" nie chcieli wyrzeczenia się aktywnej polityki kulturalnej państwa. Kol. Kruczkowski dobrze to wie. Użył tego twierdzenia, jako efektownego chwytu dyskusyjnego. A sprawa jest poważna i efektowne chwyty tylko zamącają tok dyskusji i wzajemne rozumienie się. Rozmówcy „Kuźnicy" właśnie wielkim głosem **wołali o aktywną, postępową politykę kulturalną państwa.** Podstawowym zarzutem stawianym Ministerstwu było to, **iż nie widać w jego poczynaniach żadnego programu polityki kulturalnej. Działalność ministerstwa robi wrażenie całkowicie zdominowanej przez codzienną, papierkową krzątaninę.** Ministerstwo zdaje się płynąć jak liść na fali. Pamiętam, że tak samo było kiedyś w Ministerstwie Oświaty. Robiło się wszystko co trzeba. Robiło się dużo dobrego. Ale to nie była celowa polityka oświatowa. Dopiero ułożenie i przyjęcie planu reformy szkolnej nadało całej pracy sens i rozmach. Ten sam duch i kierunek w pracy administracyjno - szkolnej, kształceniu nauczycieli, układaniu podręczników i redagowaniu programów. Zaczęło być dopiero wtedy wiadomo co jest potrzebne, a co nie, co jest pierwsze, a co może poczekać, zjawiły się miary i kryteria. Bez takiego szerokiego **i społecznie zaakceptowanego planu** nie ma polityki — ani oświatowej, ani kulturalnej, ani ekonomicznej.

Ministerstwo Kultury i Sztuki nie wysunęło dotąd takiego programu. Nie poddało go ocenie i dyskusji. Pamiętam, jak żarliśmy się w ZNP przy planie reformy szkolnej. Ale zaakceptowanie go przez Zjazd Oświatowy w Łodzi, przez ZNP, nauczycieli i teoretyków pedagogiki dało ob. ob. Skrzeszewskiemu, Bińkowskiemu i Kormanowej możność podjęcia pracy właśnie na miarę środków takiej instytucji społecznej jaką jest każde ministerstwo: organ samorządu **całego narodu** w danej dziedzinie. Chałupnictwo i odwalanie kawałków nie przystoi Ministerstwu!

Po tej polemice z głównymi tezami „Odpowiedzi" Leona Kruczkowskiego, jeszcze raz pokrótce uwydatnię pominięte przez niego nasze tezy:

1) Nie widzimy jasnej, szerokiej, celowej, rozpracowanej koncepcji polityki kulturalnej w poczynaniach Ministerstwa. Taki program polityki kulturalnej nie został przedstawiony czynnikom społecznym do rozważenia, wbrew słusznemu precedensowi jaki mieliśmy w postępowaniu Ministerstwa Oświaty w analogicznej sytuacji. Stwierdzając to, nie byli rozmówcy „Kuźnicy" „słabo przygotowani" do żywej krytyki. To nie jest sprawa szczegółów, o których możemy nie wiedzieć. To sprawa podstawowa, o której wie cały świat artystyczny w Polsce.

2) Kol. Kruczkowski potraktował nas jako „bywalców kawiarnianych", którym brak kompetencji, aby mogli problemy polityki kulturalnej rozważać. Myślę, że nasza podstawowa teza o potrzebie takiego programu i potrzebie społecznego przedyskutowania go będzie w dalszych artykułach uzasadniona. Tu powtarzam ją tylko. Myślę, że jej oczywista słuszność mówi sama za siebie, nawet, jeśli ją wysuwają „niekompetentni bywalcy kawiarniani". Za słusznością naszej tezy przemawia i to że **praca ministerstwa zdaje się być w obecnej sytuacji łańcuchem improwizacji. I to krytykowaliśmy powtóre w rozmowie „Kuźnicy".**

Niepokoi nas brak wpływu ministerstwa na najistotniejsze i najbardziej nadające się do administrowania dziedziny życia kulturalnego. Nie widzimy np. prób opanowania chaosu w polityce wydawniczej. W całym szeregu poczynań urzędników natomiast widzimy dowolność w angażowaniu autorytetu najwyższej instytucji państwowej i brak subtelnego znawstwa spraw kultury, spraw ideowych. Np. dlaczego to aż państwo polskie poleciło mistyczną książkę prof. Hirszfelda do przekładów na języki obce?

3) To też nie widząc ani planu ani sztabu znawców w Ministerstwie K. i S. rozmówcy „Kuźnicy" proponowali świadome zmniejszenie zakresu spraw, którymi zajmuje się ministerstwo. Jako stanowisko dyskusyjne wysunęliśmy propozycję zajęcia się zagadnieniami najważniejszymi na tym etapie.

Sądziliśmy, że w tej chwili najważniejszą sprawą dla Min. Kultury i Sztuki nie jest t. zw. „krzewienie".

Tą sprawą jest natomiast głównym zagadnieniem dla innych ośrodków dyspozycji oświatowo - kulturalnej, jak Departament Oświaty Dorosłych w Min. Ośw., Zarząd Gł. TUR i TUL i wydziały oświatowe organizacyj społecznych i zawodowych.

I dlatego sądziliśmy, że pierwszym zadaniem Min. K. i S. — jest planowa polityka kulturalna na odcinku produkcji. Rozmówcy „Kuźnicy" podkreślali, że ministerstwo na razie z pożytkiem dla kultury może ograniczyć się do 1) opieki nad twórcami, 2) planowania polityki kulturalnej (przygotowanie planu!), 3) subsydiowania tych dzieł, które już nie będą wyrazem arystokratycznych dążeń kulturalnych i dadzą się upowszechniać (gdzie jest tania biblioteka polskich klasyków dla bibliotek chłopskich na wzór wydawnictw radzieckich i czeskich) albo mają szczególną wartość kulturo - twórczą przy małej opłacalności. 4) Administrowanie (konieczne!) teatrami, muzeami, orkiestrami.

Praca upowszechniania natomiast z korzyścią może być prowadzona dziś przez organizacje społeczne pod fachowym kierownictwem Min. Oświaty. To samo dotyczy **szkolenia.**

Niesłuszny jest zarzut, iż przez to niedoceniamy społecznych obowiązków sztuki, że mamy do nich stosunek artystowski. Właściwie to bardzo zawstydzające słuchać zdań o „krzewieniu", gdy się wie, że żadna książka nie dociera na co dalszy partykularz gdy się z rozpaczą wie, że wiejski nauczyciel czyta tylko **raz na tydzień** gazetę i nigdy nic więcej. To nie fantazje. To wyniki objazdów prowincji w okresie wyborów. Tej sprawy nie załatwi się powiatowymi komórkami Min. K. i S. Ta sprawa wymaga właśnie skupienia się Min. nad opracowaniem planu polityki kulturalnej i wymaga realnej aktywizacji, wzmocnienia akcji kulturowej **od dołu,** od stowarzyszeń młodzieżowych i politycznych. **Akcja biurokratyczna od góry** — to przykry zawstydzający frazes. Są wszystkie pozory, wiele słów o społecznikostwie w sztuce i nic się nie robi na prawdę. Urzędnicy nie odrobią zacofania kulturalnego kraju! To może zrobić wysiłek społeczny. Ministerstwo może wciągnąć do tej akcji producentów i dać dobre wytyczne stowarzyszeniom społecznym, kierowanym przez fachowców oświatowych. **Kulturę bowiem da się masom tylko razem z oświatą.** Przy akcji oświatowej można i trzeba ją zaczepić. Inaczej zmarnuje się siły, środki i okazję.

W rozmowie „Kuźnicy" nie proponowano likwidacji Ministerstwa. **Proponowano jedynie likwidację jego sieci terenowej.** Jest zbędna. Proszę nam wykazać potrzebę tej sieci. W „Odpowiedzi" Kruczkowskiego nie ma na to dowodów.

Jeśli idzie o Ministerstwo K. i S. bardzo kategorycznie mówili rozmówcy „Kuźnicy" o potrzebie utrzymania zreorganizowanego urzędu ministerialnego, wyraźnie: **ministerstwa, z pełnymi kompetencjami ministra dla jego kierownika.**

5) W wywodach kol. Kruczkowskiego jest jedno żądanie dziwaczne, aby „Kuźnica" czy Zw. Zaw. Lit. Polskich wysunął program ludowej polityki kulturalnej. Ależ to właśnie Ministerstwo zostało do tego celu powołane! Panowie, ustalmy kompetencje i zakresy działania! „Kuźnica" — to jest tygodnik, w którym publicyści podają do publicznej rozwagi różne pomysły, informują, próbują przekonać. Zw. Zaw. Lit. Polsk. — to w obecnym schemacie naszego życia kulturalnego prawie wyłącznie reprezentacja interesów ekonomicznych pisarzy. Innych uprawnień nie dało mu właściwie państwo z winy małej aktywności Min. K. i S.

To panowie z Min. K. i S. jesteście od zaplanowania i prowadzenia polityki kulturalnej. Polityki postępowej. Nie prowadzicie jej. Planu nie macie. A przynajmniej nie dyskutowaliście o nim jawnie z czynnikami społecznymi. Robicie błędy jak wszyscy ludzie. Chyba dość będzie z nas „Kuźnicowców" jeśli zwrócimy na to wszystko uwagę z obowiązku publicystycznego i podsuniemy na początek parę propozycji, zaczynając jednocześnie dyskusją, która, jak mamy nadzieję, przyniesie zarysy potrzebnego programu polityki kulturalnej i sprostuje naiwne czy błędne mniemania „gorliwców" z „Kuźnicy".

Reasumując:

1) Uważamy, że najważniejszą przeszkodą w podjęciu przez Min. K. i S. właściwej i owocnej pracy jest jego dotychczasowa struktura organizacyjna. Należy ją zmienić. Przystosowana jest bowiem do innych zadań niż te, które Min. K. i S. powinno dzisiaj spełnić. **Trzeba usunąć tę kłodę schematu Ministerstwa Poczt i Telegrafów z drogi rozwoju Ministerstwa Kultury i Sztuki.**

2) **Prosimy wszystkich zainteresowanych o wzięcie udziału w dyskusji. Otwieramy dla wszystkich łamy „Kuźnicy".**

Stefan Żółkiewski.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Rozważania Nauczycielskie

Str. 62

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

1 9 4 6 r.

RYSZARD MATUSZEWSKI

O KSIĄŻCE OSMAŃCZYKA

Kiedy myślimy o autochtonicznej ludności polskiej odzyskanych ziem Śląska, zwłaszcza Dolnego, rzadko kiedy myślimy o ludziach, z którymi łączy nas coś więcej niż narodowy instynkt trwania, możność porozumienia się wspólnym językiem w rzeczach elementarnych i wielka, wspólna wrogość wobec zaborcy, grożącego ich i naszemu istnieniu. Kiedy myślimy o Polakach z Opola, nie mówiąc już o dalszych regionach odzyskanego kraju piastowskich grobów, nie mamy na ogół złudzeń: wiemy, że tam co polskie — to oddolne, godne szacunku ale ubogie i prostacze jak poorana i zgrubiała dłoń matki robotnicy, że co wyżej — było ostatnio już tylko niemieckie.

Zdumienie, radość i duma ogarnia, kiedy uświadamiamy sobie, że z tych opłotków biologicznej polszczyzny wydźwignął się człowiek, tak prosto, jasno i bez skrzywień, widzący „sprawy Polaków", publicysta tak europejski, talent tak nie „regionalny" ,umysł tak w warunkach naszych trzeźwy i tak — przy całym swym żarliwym patriotyzmie — wolny od jego mistyczno - emocjonalnej mgławicowości.

Kto czytał „Sprawy Polaków" przyzna, że od czasów ukazania się jeszcze przed wojną artykułów i reportaży Ksawerego Pruszyńskiego, w publicystyce naszej nie ujawnił się temperament pisarski równie silny, któryby przytem w sposób dla społeczeństwa polskiego równie przekonywujący, bez jednoczesnego schlebiania mu, umiał doń przemówić i trafić.

W książce Osmańczyka przemawia bowiem do nas nie tylko „syn ziemi śląskiej", nie wyłącznie „rodak z nad rubieży", nawet nie przedstawiciel „zachodniej orientacji" w sprawie granic. To prawda, Osmańczyk, znawca spraw niemieckich, Polak z Dolnego Śląska, jest dzisiaj orientacji tej jakgdyby symbolem w polskiej publicystyce. Jest także jednak czymś więcej.

Niezależnie od przekonań w sprawach ideologicznie spornych (wypowiedzi Osmańczyka zbliżają go niewątpliwie do światopoglądu katolickiego) — jest on wyrazicielem myśli łączącej ludzi różnych poglądów w Polsce, powiązanej nie tylko z bieżącą sytuacją polityczną, sprawami Odry i Nissy, ale czujnej, krytycznej polskiej myśli państwowej na dalszą metę. Jest wyrazicielem głęboko i uczciwie pojętej troski o przyszłość Polski. A przy tym jest realistą. I wnioski swoje, choć niewątpliwie pisane, jak się to mówi serdeczną krwią, opiera nie na przesłankach emocjonalnych, lecz racjonalnych.

„Sprawy Polaków" — to książka pod której zasadniczymi tezami podpisać się powinien każdy człowiek w Polsce. Książka, która pomija celowo sprawy które nas dzielą, mówi o rzeczach które są nam wszystkim wspólne a jednocześnie nie są wcale rzeczami oczywistymi. Nie powtarza ona niczego, czego nie należałoby dziś jeszcze żelaznymi ćwiekami wbijać w narodową świadomość.

Zasadnicze jej tezy — po pierwsze, potrzeba bezwzględnego gospodarczego podniesienia Polski, aby liczyła się wobec Niemiec, po drugie, świadomość, że wobec 70-milionowego narodu pracowitych i praworządnych niemieckich mrówek nie będziemy mogli w najbliższym czasie zasłonić się wrogością czy niechęcią, lecz że będziemy musieli prowadzić w stosunku do niego politykę taką samą, jaką prowadzić będzie wobec niego cała Europa; po trzecie świadomość, że tylko realna siła zaimponuje Niemcom i uchroni nas przed nimi, że tylko praca i organizacja przekona innych o naszej wartości, a nie tylko męstwo i ofiara krwi — to wciąż są prawdy potrzebne dla narodu, który zawsze w krytycznym momencie umie swe dzieci pędzić na barykady, który nigdy zorganizowanym wysiłkiem nie zastąpi improwizacji genialnych lub szalonych.

„Naszą dumę z faktu, że jesteśmy narodem żołnierzy, musimy równie poddać rewizji i złożyć do samotnego lecz przepełnionego bohaterstwem ponad miarę lamusa naszej przeszłości. Skoro i pokój i wojnę wygrywa inżynier i robotnik, musimy stać się narodem inżynierów i robotników, a dla lubiących romantyczne porównania: narodem żołnierzy pracy. Inaczej nigdy nie dorównamy i powtarzać się będą te tragiczne proporcje:

Z 35,000.000 obywateli polskich poległo w drugiej wojnie światowej 7,000.000 obrońców Wolności.

Z 80,000.000 obywateli Rzeszy poległo w drugiej wojnie światowej 3,500.282 zaborców Wolności.

Końcowa cyfra 282 jest ogłoszoną 15 maja 1946 r. liczbą dotychczas skazanych na śmierć przez Międzynarodowe Trybunały dla zbrodniarzy wojennych."

Z dziesięciu rozdziałów książki Osmańczyka — cztery poświęcone są bezpośrednio sprawie Niemiec i analizie sytuacji międzynarodowej, jeden sprawie łużyckiej, cztery — rozmaitym aspektom naszych narodowych bolączek, spraw naszej rzeczywistej sytuacji i naszych rzeczywistych konieczności. Jesteśmy u granic możliwego dla żywego narodu ubytku jego sił biologicznych .„Kto chce zatrzymać w polskim myśleniu mit zwycięskiego ryzykanctwa, ten nie obliczył dotąd strat narodu polskiego i nie pojął, że są granice upływu krwi" — pisze w rozdziale „Granica upływu krwi".

W rozdziale poświęconym zagadnieniu polskiej emigracji głosi śmiało: „Hasło, że za granicą można służyć Polsce równie dobrze jak w kraju, jest w 95 wypadkach na 100 samooszukiwaniem się..." „Cały ciężar pracy nad odbudową Polski, więcej, pracy nad stworzeniem warunków istnienia silnej Polski — wiemy, że słaba Polska bardzo szybko przestaje istnieć — spoczywa dziś, — jak wczoraj i jutro, na Polakach w kraju. Emigracja jest stanem nienormalnym narodu..." „Dużym nieporozumieniem też jest to, że emigracja wyrosła w latach wojny w poczuciu, iż jest warstwą rządzącą, na którą czeka „wytrwały kraj". Tymczasem dziś po siedmiu latach nieobecności braci naszych Emigrantów, prawo do rządzenia zdobyły sobie w latach walki i obecnie miliony Polaków w kraju najpierw walczących, a z kolei pracujących w Warszawie, Gdańsku, Gdyni, Szczecinie, Wrocławiu, Katowicach. Ile razy w przyszłości zmieniać się będzie rząd w Polsce (obojętnie jakie partie będą go tworzyć), tyle razy doń wchodzić będą w pierwszym rzędzie ci Polacy, którzy dziś pracują nad Odrą i Nysą, nad Wartą i Wisłą. Na rządy Kraj ma dość ludzi, co rok nawet jest w stanie dobry gabinet wyłonić. Brak natomiast Krajowi ludzi do pracy, fachowych, wytrwałych, zaciętych. Nie, żeby takich w Polsce w ogóle nie było, że jest ich za mało na to, co musimy zbudować, aby móc żyć".

W rozdziale zatytułowanym „Antypolonizm" Osmańczyk mocno przeciwstawia się antysemityzmowi i wszystkim rodzajom niechęci człowieka do człowieka w Polsce. Pozycja jaką zajął Osmańczyk swoją publicystyką jest niewątpliwie pozycją po stronie obozu postępu.

Książka Osmańczyka jest książką potrzebną dlatego, że nie należy do tych, które przekonywują tylko już przekonanych, ale do tych, które mogą być zwrotem w czyimś światopoglądzie. Nie w światopoglądzie myśliciela, ideologa, polityka czy statystyka, ale w światopoglądzie przeciętnie narodowo i społecznie uświadomionego obywatela, w światopoglądzie człowieka, jaki kształtuje oblicze opinii w kraju takim jak Polska. Na książce Osmańczyka napisanej rzeczowo i trafiającej do czytelnika argumentami dlań zrozumiałymi winni się uczyć działacze i politycy, jak należy przemawiać, żeby móc zyskać w społeczeństwie odzew i na prawicy i na lewicy.

O publicystyce Osmańczyka stwierdzono, przyznając mu ostatnio nagrodę literacką, że „przez swoją dojrzałą twórczość artystyczną, pomijając dojrzałość polityczną i narodową, posiada obok siły wyrazu i logiki przekonywania moc wywoływania wzruszeń estetycznych". Jest to słuszne. Styl Osmańczyka — zwarty, prosty, język rzeczowy i pozbawiony kwiecistości — pociąga czytelnika. Siła przekonania bije z tych słów mocnych i rzetelnych, uczciwych i rozumnych. Książka Osmańczyka daleka jest od wskazywania słusznej drogi rozwiązania wszystkich bolączek w Polsce. Daleka jest od wielu konkretnych spraw, bez których nawet horyzont przeciętnego „świadomego" Polaka nie jest zupełny. Wskazuje kierunek tylko w niektórych ważnych, żywotnych zagadnieniach naszego narodu. Trudno jednak zaprzeczyć, że właśnie te zagadnienia należą do najważniejszych. I że właśnie głos Osmańczyka mówi nam o nich w sposób najbardziej uprawniony i przekonywujący.

Ryszard Matuszewski

Edmund Osmańczyk

JAN SZCZEPAŃSKI

W TROSCE O PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

Osmańczyk nazwał swoją książkę „irytującą"; wydawca uznał za stosowne podkreślić tę cechę na opasce zaznaczając, że książka jest „irytująca", lecz trzeba ją przeczytać. Jest to wszystko niezmiernie charakterystyczne. Przeczytałem książkę uważnie, znając jej treść uprzednio z „Przekroju", szukając co jest w niej irytującego. Chyba to, że Osmańczyk pokazuje w niej taki obraz Niemiec, który nie pokrywa się z obrazem potocznym w Polsce, i chyba to jeszcze, że świat widzi właśnie Niemcy według jego obrazu, a nie według tego, w jakim my chcielibyśmy Niemcy światu pokazać. Jakiż jest ten obraz Niemiec, który tak irytuje Polaków? Osmańczyk podkreśla dwie cechy Niemców: pracowitość i praworządność w swoim państwie, czyli cechy, które w warstwach przodujących dotychczas w Polsce cieszyły się tradycyjną pogardą. Natomiast Osmańczyk, człowiek wychowany w kulturze zawodowej pracowitości z lekceważeniem odzywa się o naszych narodowych walorach: skłonności do bohaterskich porywów, fantazji i stawianierozumnie pojętego honoru ponad wszystko. I jak się tu nie irytować na taką bezczelność? Jak on może wypisywać takie np. rzeczy: „Nim Hitler uderzył na nas, naród niemiecki w ciągu lat 6 (dosłow nie sześciu!) pracą wyłącznie własnych rąk i umysłów stworzył największą ówcześnie zbrojownię świata. W latach wojny naród niemiecki udowodnił z kolei, że umie pracować równie wydajnie i w warunkach najcięższych. Fakt, że praca narodu niemieckiego wykorzystana została dla celów zbrodniczych, obciąża niewątpliwie naród ten moralnie, nie zmienia jednak wartości pracy człowieka niemieckiego, który bezsprzecznie dorównywał w całej pełni wysiłkowi robotnika mocarstw ostatecznie zwycięskich. Jest w narodzie niemieckim siła pracowitości, która, na skutek otępienia moralnego Niemców, może być wykorzystana równie dobrze negatywnie jak pozytywnie. Istnieniu jednak tej siły zaprzeczyć nie wolno". (str. 86). I w dalszym ciągu Osmańczyk rysuje portret cech niemieckich i wynikających z nich możliwości: „Za lat dwadzieścia jeśli pracowitość niemiecka wyprzedzi pracowitość naszą, czy to się nam będzie podobało czy nie, możemy stać się zależni od naszego sąsiada zachodniego". (str. 88).

Na pracowitości i praworządności Niemcy opierają nadzieję na wejście znowu w świat. „Okupant ma pomóc w odbudowie Niemiec i ma nauczyć się szacunku dla pracowitości i praworządności niemieckiego narodu. Ma przestać bać się Niemców a zacząć ich szanować". (str. 89). Hasło małej pracy (Klein Arbeit) wysunięte zostało jako naczelna wytyczna postępowania narodu. „Jest w tym naprawdę coś imponującego, że fryzjer bierze w Dreznie pod okupacją rosyjską za strzyżenie włosów tak samo 70 fenigów, jak fryzjer w Hamburgu pod okupacją angielską, jak fryzjer w Baden-Baden pod okupacją francuską, jak wszyscy ci fryzjerzy podczas całego okresu wojny i przez 13 lat przed wojną". (str.92). Ta pracowitość i praworządność trzyma markę niemiecką jako walutę notowaną na giełdach zagranicznych. I autor porównuje: „Kiedy w Warszawie odbudowanie sklepu na Marszałkowskiej kosztuje setki tysięcy złotych, w Berlinie na Kurfürstendamie, kilka tysięcy marek. Murarz bierze 78 fenigów za godzinę i pracuje 8 do 10 godzin. Wieczorem oblicza starannie fenigi, podobnie jak żona jego dokładnie dzieli dzienną porcję chleba, kartofli, jarzyn i tę parę gramów tłuszczu na ilość osób w rodzinie. W niedzielę idą do kina, teatru czy na plażę, gdzie bilety wstępu kosztują tyle samo co w czasie wojny, co przed wojną". „Nie przeczę, że życie Niemców w tak ciągłym ograniczeniu jest bez polotu i fantazji. Polak zbuntowałby się bardzo szybko. Dwieście gramów kiełbasy na miesiąc zjadłby jednego dnia, zakropiwszy kupioną za połowę pensji ćwiartką bimbru. Oczywiście przez drugą połowę miesiąca musiałby chodzić głodny do pracy. Zbuntowałby się więc po raz drugi. Przestałby pracować, a rozpocząłby handel dziki, no i szmugiel (cztery strzeżone granice okupacji — cóż za raj dla ludzi odważnych i z polotem!). Wynik: życie pełne fantazji w chaosie", (str. 93).

Czyż to wszystko razem nie jest irytujące? Co więcej w rozdziale pt. „Prawda o Niemcach" zamiast o zbrodniach, okrucieństwach, obozach Osmańczyk tak zaczyna: „Prawdą o Niemcach, czy się nam to podoba czy nie, jest to: Niemcy są narodem wybitnie dla siebie praworządnym i dla siebie pracowitym... Dla świata praworządność i pracowitość są wartościami bezwzględnymi. Wartości te zasłaniają już dziś, a w następnych latach zasłonią światu zupełnie upadek moralny Niemiec. W 15 miesięcy po zakończeniu zbrodniczej niemieckiej wojny staje się jasne, że nienawiść i pogarda dla narodu niemieckiego nie utrzyma się w świecie. Nieuchronnie zbliżamy się do dnia, w którym naród niemiecki zostanie wśród szumu szlachetnych, wzruszających słów, jak zbłąkana owieczka, wprowadzony z powrotem do rodziny ludów świata", (97). Irytuje ta prawda Osmańczykowa, gdyż odbiega daleko od prawdy przeciętnego Polaka, który na zwycięzców nakłada obowiązek takiego traktowania Niemców jak Niemcy traktowali Polaków i oburza się, gdy stwierdza, że zwycięzcy ani myślą o tym. Jaką Osmańczyk wskazuje gwarancję bezpieczeństwa Polski?": „Dla nas Niemcy nie będą niebezpieczni tylko pod dwoma warunkami: 1) Jeśli utrzymamy granicę Odry i Nysy, 2) Jeśli będziemy jako naród równie silni wewnętrznie pracą i praworządnością jak naród niemiecki", (str. 99).

Irytuje Polaków otwarte stwierdzanie, dlaczego wyżej stoją szanse Niemców niż Polaków: „Lindlay Fraser, jak miliony dziś ludzi w świecie, myśli tylko o zbudowaniu pokoju, szuka więc ludzi i narodów, na których pokój — czas pracy po czasie walki — mógłby oprzeć. Pozbawiony uprzedzeń nie dzieli ludzi na złych i dobrych, tylko na użytecznych i nieużytecznych. Jeśli Niemcy będą dla pokoju (choćby na lat 20) bardziej użyteczni niż Polacy, to trzeba będzie pokój oprzeć na Niemcach", (str. 143). Irytuje również Osmańczykowe pokpiwanie z chluby narodowej, kos, którymi pod Gdynią bito w niemieckie czołgi, i stwierdzenie, jak niewiele wartym towarem jest droga nam sława wojenna". Siła sławy wojennej niknie z każdym rokiem pokoju. Siła pracy narodu trwa po przez wszystkie ustroje, zawieruchy, wojny, Sława pierzcha. Praca pozostaje. Więcej: przykład Niemiec uczy, że nawet niesława pierzcha wobec trwałości potencjału pracy".

Nie może się podobać co autor pisze o Czechach: „Czesi w tej wojnie obliczali każdą kroplę swej krwi, gdy myśmy szafowali krwią na podziw świata. Czesi zachowali nienaruszony kapitał ludzki, my — doszliśmy do granicy upływu krwi. ...Nie wypinajmy przed Czechów bohaterskiej piersi. Brak zmysłu samobójczego nie jest dowodem tchórzostwa", (str. 149). „W lipcu 1946 r. byłem w Szwajcarii. W Zurychu trafiłem na otwarcie wystawy „Warszawa oskarża". Wysłuchałem bardzo wzruszających przemówień okolicznościowych, z których mowa prezydenta parlamentu związkowego dr Grima przekonała mnie ostatecznie o bezpłodności obnoszenia się po świecie z historią naszych dzisiejszych słabości. Prezydent dr Grim oddawszy hołd poległym i podkreśliwszy większą wartość ludzką idei pokoju od idei wojny, w zakończeniu powiedział: „Obecnie, kiedy znów, jak przed wojną, węgiel polski przybywa punktualnie, ściśle według umowy do naszego kraju, współpraca polsko - szwajcarska wraca na stare tory tradycyjnej przyjaźni dwóch narodów". W Warszawie w czasie powstania zginęło 250.000 ludzi. W świecie fakt ten poza okolicznościowymi mowami, nie znajduje już żadnego echa. Fakt ten należy już do historii. A bądźmy brutalnie szczerzy — fakt ten światu wcale nie był potrzebny. Za to światu potrzebny jest codzień pol-

ski węgiel, a zatem 250.000 polskich górników, swoim codziennym trudem przywraca nam realną przyjaźń wielu odległych narodów". (154).

Osmańczyk niewątpliwie czasem uprasza nieco sprawy widziane w Niemczech i na zachodzie Europy. Pisze on: „Niemcy przypatrują się, przysłuchują, uczą. Inżynierowie alianccy chwalą pilność Niemców. Zawiązywane są węzły przyjaźni, a w sercach skorych do przebaczenia rodzi się miłość, która zwycięża okupacyjne nakazy". (152). Wiemy, że miłość ta nie rodzi się wskutek samej pilności Niemców. Natchnienie jej płynie także z Wall-Street, czego autor nie widzi. Stawianie na Niemców przez Anglo-Sasów płynie również z międzynarodowej rozgrywki, płynie z rozgrywek socjalnych. Bo Lindlay Fraser i inni chcą zbudować swój pokój i do tego potrzebni są im Niemcy jako narzędzie swojej polityki. Ale uwagi i obserwacje Osmańczyka nie tracą na wartości przez to, że nie dopowiadają tych spraw całkowicie do końca. Sprawy podnoszone przez niego mają swoją samodzielną wagę. Sądzę, że książka Osmańczyka może irytować tylko tych, którzy poza nieco mglistą historiozofią nie chcą dojrzeć serdecznej troski płynącej z obserwowania spraw istotnych dla bytu narodu i przyszłości Polski, którzy myśląc o sprawach Niemiec, nie potrafią wyjść poza schematy uczuciowej postawy. Pytanie zasadnicze, jakie Osmańczyk stawia na czele swoich rozważań, ma swoją tragiczną wagę: „Musimy budować kraj i jednocześnie uczyć się, wszyscy bez wyjątku, dyscypliny nowoczesnego myślenia ekonomicznego, kulturalnego, politycznego. Świat poszedł naprzód gdyśmy walczyli o nagie życie. Musimy go dogonić. Tragiczne skutki dwustu lat słabości zepchnęły nas w rodzinie narodów na miejsce poślednie. Tragedią byłoby nie zdawać sobie z tego sprawy. Jeśli chcemy sami żyć i dać życie człowiecze, nie niewolnicze nowym pokoleniom, to musimy być silni, a w nowym rodzącym się świecie po staremu siła mierzyć się będzie bogactwem ekonomicznym i kulturalnym. Dziś — same pobite Niemcy mogą nam przeciwstawić na 100 wydanych książek 1000, na 1 uczonego polskiego 10 niemieckich, na wartość 10 gospodarstw polskich równą wartość 1 gospodarstwa niemieckiego. Jutro — wszystko zależy czy dorównamy?" (str. 22).

Droga do przyszłości Polski prowadzi przez pracowitość i praworządność.

Jan Szczepański

HOMER I ORCHIDEJA

w teatrze Kameralnym

Jeżeli Teatr Kameralny Domu Żołnierza szuka nowych polskich sztuk dramatycznych i chce wprowadzać na scenę nowych polskich autorów — to intencja taka jest na pewno słuszna i w zasadzie przynieść może wiele pożytku. Dobrze jest gdy młodzi autorzy dramatyczni przekonywują się, że teatr odnosi się do nowych utworów z zainteresowaniem, że je chętnie wystawia, że warto pisać dla teatru.

Taka polityka teatru może oddziaływać na autorów inspirująco. Wydaje mi się jednak, że polityka teatralna, zmierzająca w tym kierunku, powinna być — jak każda polityka — dobrze przemyślana i stosowana na tyle trafnie, aby w repertuarze nie pojawiały się pozycje, budzące zakłopotanie swoją literacką niedojrzałością.

Pozycjom literacko niedojrzałym, pozycjom treściowo pustym i głuchym nie może w dostatecznej mierze pomóc najrzetelniejsza nawet i najbardziej inwencyjna praca reżyserów i inscenizatorów. Bo cóż z tego, że reżyser obetnie kawałki tekstu lub nawet cały akt, że będzie próbował scenicznie rozwiązywać niesceniczne sytuacje dodając to i owo, że barwnie uruchomi widowisko w mniej lub więcej udanym spisku z dekoratorem, że wysili wszystkie swe zdolności? Ludzie na widowni wyjdą może nawet w pierwszej chwili olśnieni barwnością widowiska, ale rychło dojdą do wniosku — wspominając spektakl — że nie pozostawił on żadnego głębszego śladu w ich myślach.

Podobnie rzecz się ma z przedstawieniem „Homera i Orchideji". Utwór ten, napisany podczas okupacji przez Tadeusza Gaycyego, młodego, poległego potem, bohatera walk z okupantem — mówi o autorze, jako o początkującym i w tak trudnych warunkach tworzącym pisarzu, jaknajlepiej. Widać w tym utworze niezaprzeczony przebłysk talentu i zdolności wysnuwania wizji literackiej, literackiego „pomysłu". Ale „talent" to zaledwie pretekst do tego, aby zacząć pisać i kiedyś stać się pisarzem. A już szczególnie w twórczości dramatycznej. I chyba dużo racji mają wytrawni „ludzie teatru", gdy mówią nam, że trzeba pięć utworów scenicznych napisać, aby piąty pokazać na scenie. „Homer i Orchideja" jest utworem, który sygnalizował talent młodego autora i mógł zapowiadać jaknajlepsze nadzieje na przyszłość. Jednocześnie jednak — sam w sobie — jest produktem zbyt młodzieńczym i zbyt jeszcze nieprzemyślanym na scenę.

Ta nieugruntowana w żadnej rzeczywistości historycznej, dowolnie pomyślana baśń o życiu i losach mitycznego Homera — miała najprawdopodobniej dwie rzeczy na celu: po pierwsze ukazanie jeszcze raz w literaturze „wiecznego problemu" konfliktu jednostki twórczej z głupim przyziemnym środowiskiem, po wtóre narzucenie sugestii, że może za losami bohatera „Odyseji" kryją się osobiste losy domniemanego jej twórcy. Jedno zbyt naiwnie romantyczne i zbyt naiwnie traktujące sprawę twórcy i środowiska — aby mogło dziś kogokolwiek zainteresować jako problem, drugie zaś nazbyt wątłe w obliczu potężnej „Odyseji" — aby rzucona sugestia była choć trochę przekonywująca, choć trochę nas mogła poruszyć.

W rezultacie raczej pustka treściowa, pogłębiona jeszcze — zrozumiałą u młodego autora — niezdarnością w komponowaniu sytuacji scenicznych, jak choćby „w świątyni", w której to scenie partnerzy Orchideji wchodzą i wychodzą kolejno, jak marionetki.

W sztuce niedojrzałej do widowiska, w której sens jest naiwny, sytuacje niedostatecznie skomponowane, a nadewszystko postacie w tekście nie „postawione", chwiejne — nie jest łatwo grać aktorom, choćby zespół aktorski był tak dobry, jak dobrym jest zespół Teatru Kameralnego. To też wszyscy — z Szaflarską w roli Orchideji na czele — męczyli się potrosze, starając się ze swych ról zrobić wszystko, co się tutaj dało zrobić najlepszego. Męczyli się — nie ze swojej winy. Natomiast winą niestety obarczyć zdaje się trzeba Woszczerowicza w roli Homera, no i w związku z tą rolą — reżysera. Woszczerowicz jako młodziutki Homer raz w kusej, a raz w długiej białej koszulinie — i ze swym wielkim, znanym nam wszystkim talentem do ról raczej „charakterystycznych" — stał ciągle o krok od groteski. Sytuacja radykalnie zmienia się dopiero w trzecim akcie, kiedy to Woszczerowicz — stary, ślepy i brodaty Homer — staje się prawdziwie wspaniały, a swą rolę w tym akcie koronuje mówiąc w sposób tak piękny i przejmujący fragment przekładu Wittlina z „Odyseji", że choćby po to, aby tego posłuchać, warto przyjść na spektakl.

Wyraźnie zasłużył się tu i reżyser, Józef Wyszomirski, który z własnej inicjatywy rozszerzył zamieszczony przez autora sztuki fragment wspaniałego przekładu i usytuował tę całą scenę tak, że wywołuje ona rzeczywiście duże wrażenie.

Dekoracje Kosińskiego do tej sztuki są barwne i zdaje się dobrze przysłużyły się reżyserowi do organizowania sytuacji — chociaż trącą manierą, z którą spotykaliśmy się w teatrach ćwierć wieku temu.

Juliusz Żuławski

ROZKAZ I ZBRODNIA

Prokurator: Dlaczego oskarżony zamordował śp. Stachowiaka?

Oskarżony: Ponieważ od Hankiewicza otrzymałem taki rozkaz.

Prokurator: A gdyby oskarżony otrzymał rozkaz zamordowania własnej matki, czy zabiłby ją?

Oskarżony: Gdybym taki rozkaz otrzymał, to albo jabym głowę dał albo ona (Z rozprawy przeciwko zabójcom instruktora ZWM Jana Stachowiaka w Poznaniu).

W czasach, w których żyłem, zasady wolności, bezpieczeństwa i poszanowania ludzkiego życia nie należały bynajmniej do ugruntowanych. Walczono o nie różnymi sposobami, drogą rozumu i drogą uczucia. Co do mnie osobiście, uchodziłem jak wiadomo za cynika, nie wierzyłem we wrodzoną dobroć natury ludzkiej, do której apelowali towarzyszący mi w mojej epoce filozofowie w rodzaju Jana Jakuba Rousseau. Mimo to, jak wykazała historia, byliśmy sojusznikami. W kilkadziesiąt lat po nas wielka rewolucja francuska przyniosła owoce mojej walki z ciemnotą jednocześnie z owocami ich walki z krzywdą i niesprawiedliwością.

Słusznie nazwano mój wiek wiekiem oświecenia, walczyłem bowiem nie tylko ja, ale i inni w tym czasie, o wygnanie ducha zatęchłego obskurantyzmu z nieprzewietrzanych klasztornych murów, ze zmurszałych jezuickich okopów św. Trójcy, hodujących różne międzynarodowe odmiany ks. Baki. Zatruwały one umysły młodzieży wiarą w to, co ja nazywałem po prostu zabobonem i ciemnotą, a co w różnych epokach, przedtem i potem, nazywało się różnie: mistycznym ofiarowaniem się Panu Bogu, próbą ognia, wody i żelaza, przysięgą na kielnię i trzy zapalone świece, a wreszcie ślepą wiarą w Fuehrera i w Duce. Nie oburzałem się, bo przy moim usposobieniu byłem na ogół mało skłonny do oburzeń. Wolałem walczyć bronią szyderstwa.

Jak myślicie, co mógłbym powiedzieć o młodych ludziach, uważających, że może istnieć jakiś „rozkaz", któremu warto, nie przemyślawszy go podporządkować czyjeś życie i własną moralność, a nawet twierdzić, że jest on ważniejszy od życia osób najbliższych? Wiem, że w waszych „czasach pogardy" pokolenie fałszywych filozofów wydało pomiot w postaci wodzów, głoszących, że „Fuehrer jest ponad wszystkim".

Czyż nie należy stwierdzić, że wszystkie przyczyny i pobudki, jakie każą jednemu człowiekowi działać na rozkaz drugiego muszą zawsze być poddane najwyższym sprawdzianom rozumu? To właśnie te ostateczne sprawdziany dzielą przecież służbę w sprawie słusznej od służby w sprawie niesłusznej, wierność idei ludzkiej od nieludzkiego barbarzyństwa, postęp od zacofania, czy jak tam wy to nazywacie — demokrację od faszyzmu.

Większość z was rozumie już to, i — co jest dużym postępem w stosunku do moich czasów — światła część Kościoła jest też w walce tej waszym sojusznikiem. Ostatecznie przecież (mówię to też z punktu widzenia rozumu) wszystko jedno czy właśnie rozum będzie służył człowiekowi w rozsądzaniu zła od dobra, czy inaczej obwarowane kryteria ludzkości i sumienia. Myślę osobiście, że rozum jest lepszy. Tak czy inaczej jednak wierzę, że jeśli chodzi o zwalczanie zwyrodnienia młodych ludzi, w których umysły zapadł zaraźliwy mrok zabobonu, nazywanego przez was faszyzmem — możecie iść ręka w rękę.

Możecie wszyscy zgodzić się (o ile tylko macie szczyptę tego rozsądku, o którym nigdy nie dość powtarzać, zwłaszcza w waszym narodzie, niezbyt lubiącym jasne myślenie, a skłonnym do wymachiwania szablą, które myślenia nie wymaga), że szkolnictwo i organizacje młodzieży muszą być, zwłaszcza dziś po wojnie nastawione u was, tak jak w czasach, które nastąpiły bezpośrednio po ukazaniu się moich słów w europejskiej literaturze, w czasach waszej Komisji Edukacji Narodowej, na hasła daleko posuniętych reform, pogłębienia ideowego, rzetelnej naukowej wiedzy i walki z wszelkiego rodzaju irracjonalizmem, który przemawiając nieraz do łatwo zapalnej młodej wyobraźni, więcej przynosi jej szkody niż pożytku.

Dlatego zarówno szkoła, jak i takie, popularne u was organizacje, jak harcerstwo, łatwo grające na wrodzonym młodzieży zamiłowaniu do munduru, zabawy w wojsko, na skłonności do różnych poświęceń i oddawań się bez granic — powinny zrozumieć, że są to rzeczy, które w młodzieży należy umiejętnie sublimować, a nie w wybujały sposób pędzić i wzmagać, że jeśli nawet harcerskie metody wyrabiania w młodzieży dzielności są dobre i skuteczne, bo do niej, jak się to mówi, „przemawiają", to tylko pod warunkiem, że w latach dojrzewania młodzieńczego umysłu, kiedy przestaje go już bawić rozpalanie ognisk i spanie w szałasie, uzupełnione zostaną właściwą nadbudową myślową, systemem myślowym zgodnym z postulatami rozumu, z tym, o co zawsze walczyłem w imię postępu przyszłej ludzkości. Inaczej na dobre mrok głupoty i odmęt zbrodni ogarnie waszą młodzież i wasz kraj. Myślę, że przyznacie mi rację i posłuchacie mnie.

Kandyd

PRZEGLĄD PRASY

Ostatnie numery „Tygodnika Warszawskiego" wskazują na pewne zmiany linii redakcyjnej. Materiał literacki, przeważnie w „Tygodniku" nie na najwyższym poziomie, został w ostatnich numerach znacznie ograniczony na rzecz obszerniejszych artykułów. Wśród nich należy zwrócić uwagę na zapoczątkowany w numerze 5 cykl artykułów o egzystencjaliźmie. W Nr 6 znajdujemy dalszy ciąg tej obszernej pracy, referującej tak wiele zajmujący dziś na Zachodzie umysłów pogląd filozoficzny, który żywo ujawnia się zwłaszcza we współczesnej literaturze francuskiej. Jak dotąd o egzystencjalizmie słyszeliśmy z pobieżnych omówień, z literackiej plotki, ze sporów kilku mniej lub więcej wtajemniczonych krytyków literackich. Obszernego omówienia tego kierunku, przy jednoczesnym wskazaniu na jego źródła filozoficzne i pokrewieństwa dotychczas w czasopismach polskich nie było i czytelnik, którego te sprawy interesowały musiał sięgać do źródeł obcych (porówn. obszerną pracę E. Mouniera w kilku numerach „Esprit" z roku ubiegłego).

Stosunek nasz do egzystencjalizmu był niejednokrotnie określany. Jak wiadomo czytelnikom „Kuźnicy", nie jest on pozytywny. Nie tu miejsce na omawianie naszych zastrzeżeń, których sformułowanie znaleźć można z łatwością w drukowanych w „Kuźnicy" pracach na tematy społeczne, filozoficzne czy literackie. Dwuletnia praktyka literacka i publicystyczna wykazała, że istnieją w Polsce różnorodne drogi, po których pisarze i publicyści starają się dochodzić prawdy. Rzeczą pism reprezentujących dane kierunki ideologiczne jest referowanie postulatów, stawianie tez i rozwiązywanie ich według swoich możliwości. Polemika może jednak być zaczęta jedynie w zależności od poziomu na którym przeciwnik referuje zagadnienie. Wielomiesięczne spory, jakie prowadzono z „Kuźnicą" dotyczyły przeważnie drobiazgów.

W tym samym numerze „Tygodnika Warszawskiego" znajdujemy obszerną wypowiedź na temat „Kuźnicy" pióra M. A. Wasilewskiego. Pomijając meritum sprawy — „Kuźnicę" — chciałbym stwierdzić, że końcowy fragment tej wypowiedzi sprzyja postulatom obiektywizmu w ocenie pracy przeciwnika. Oczywiście, należy się zgóry zastrzec, że obiektywna ocena cudzej pracy i cudzych przekonań nie może w żadnym wypadku zatrzeć linii podziału ideologicznego, uchronić przed poważną i sumienną krytyką, zlikwidować polemikę i doprowadzić do „kochajmy się".

Kolejny numer „Odry" z dnia 9 lutego b. r. ukazał się w zmienionej nieco szacie graficznej i co winno zwrócić uwagę czytelników tego pisma, zawiera w przeciwieństwie do wielu numerów poprzednich kilka interesujących pozycji publicystycznych. Wśród nich wymienić należy tekst odczytu wygłoszonego przez Edmunda Osmańczyka w Londynie: „Niszczenie klęski". Osmańczyk zwraca uwagę na znaczenie, jakie mają ziemie zachodnie dla utrwalenia sprawy demokracji i wskazuje na związek między realiami ekonomicznymi i przemianami psychicznymi, które zachodzą w „masie krajowej". Zwracam uwagę na ten artykuł, bowiem o sprawie ziem zachodnich czytamy najczęściej frazesy i banały.

Drugim artykułem, który chciałbym zasygnalizować czytelnikom, jest „Praworządność" Karola Koźniewskiego. Interesujące zwłaszcza są uwagi autora poświęcone sytuacji pisarza w Polsce. Koźniewski wskazuje na niezgodność między teoretycznymi gwarancjami, jakich udzielono pisarzom polskim ze strony rządu w sprawie uregulowania warunków ich materialnego bytu i praktycznymi posunięciami urzędników w terenie: „Pisarze polscy w swej skromnej ilości 500, za skromnej jak na potrzeby 24 milionowego narodu, nie uchylą się w żadnym wypadku od swej pracy i swych obowiązków artystycznych i wychowawczych, ale mają prawo wymagać, by w stosunku do nich obowiązywała owa elementarna praworządność — to jest zgodność między enuncjacjami kierowników państwa a praktyką aparatu urzędniczego". Pozatem w numerze znajdujemy stałą kronikę niemiecką „Co robią Niemcy", przeniesioną tym razem z przedostatniej kolumny pisma na trzecią i urozmaiconą fotografiami. Nie zawsze godzę się na sformułowanie „Odry" w sprawach niemieckich, zwłaszcza, gdy „Odra" omawiając np. nowe wydawnictwa niemieckie, uważa wznowienie pism Eichendorffa, świetnego poety romantycznego, za akt polityczny, tylko dlatego, że Eichendorff w końcu XVIII wieku urodził się na terenach ziem zachodnich. Natomiast z zainteresowaniem przeczyta każdy notatkę o stosunku Niemców do zagadnienia austriackiego.

Po długiej przerwie ukazał się pierwszy (26 ogólnego zbioru) numer lubelskiego „Zdroju". Pismo to niejednokrotnie poddawane było ostrej krytyce na łamach przeglądu prasy, głównie za regionalizm, który w „Zdroju" za poprzedniej redakcji urastał do zagadnienia centralnego, stawał się panaceum na wszelkie bóle i niedomagania kulturalne. W sumie, dzięki takiej polityce, zarówno zgrupowani wokół dawnego „Zdroju" pisarze lubelscy jak i czytelnicy tego pisma, oderwali się całkowicie od wspólnych wszystkim pracownikom kultury i całej inteligencji zagadnień literackich i kulturalnych. Wstępny artykuł redakcyjny wyjaśnia nam cele i zadania zmartwychwstałego pisma. O regionalizmie kulturalnym nie ma tu mowy, to też czekajmy z zaufaniem na dalsze numery nowego tygodnika, stwierdzając jedynie po lekturze numeru pierwszego, że ograniczenie utworów oryginalnych na rzecz artykułów informacyjnych z pewnością stworzy „Zdrojowi" lepszą pozycję niż było to dotychczas. Obszerny przegląd czasopism omawia dość szczegółowo bieżącą prasę literacko-naukową. Pozostałości zamiłowań regionalnych obserwujemy w notatce o wydawnictwie „Teatr ludowy".

Nowy (6) numer „Dziś i Jutro" przynosi artykuł wstępny Karola Koźniewskiego: „Refleksje przedsejmowe". Autor formułuje w tym artykule ideologiczną platformę „grupy t. zw. niezależnych katolików", których przedstawiciele weszli w skład Sejmu Ustawodawczego. Koźniewski wyliczając bezsporne twierdzenia, dotyczące zarówno zewnętrznej jak i wewnętrznej sytuacji kraju wyciąga wnioski, które określają pozycję polityczną świeckiej reprezentacji katolickiej w Sejmie Ustawodawczym. „Wydaje się nam — pisze autor — iż niezależne grupy katolickie — związane w przyszłości z ośrodkami z jakich wywodzi się dzisiejsza konspiracja, a dziś rozumiejące aktualną rację stanu — są szczególniej predysponowane do odegrania ważkiej roli w dziele uspokojenia kraju. Uspokojenie to może się układać po naszej myśli i wbrew nam. Jeżeli jednak uchylimy się od współpracy w dziele odbudowy pokoju i bogactwa kraju wraz z innymi grupami, dążącymi do tegoi samego — ten pokój i to bogactwo zostaną osiągnięte mimo nas, a nawet przeciw nam. Wtedy dotkliwie odczuć to może na sobie cała katolicka ludność Polski".

ph.

Noty

Brak logiki

Dziennik „Humanite" pisze: „Niektórzy bronią zasady umiędzynarodowienia Zagłębia Ruhry i sugerują, iż zasada ta powinna logicznie być zastosowana również w sprawie Śląska i Dunaju.

To kuszące rozwiązanie grzeszy jednak pewnym pomieszaniem pojęć. Cała różnica polega na tym, że Zagłębie Ruhry jest niemieckie, a Śląsk jest polski. Dunaj zaś nie jest więcej rzeką niemiecką.

Krótko mówiąc zagadnienie Śląska i Dunaju nie ma nic wspólnego ze sprawą Niemiec".

bs

Liga wolności i służba pomocy

Organ angielskiego kapitału, tygodnik „Spectator" — nawiasem mówiąc, jedno z najpoważniejszych pism w Wielkiej Brytanii — wśród szeregu metod „organizowania opinii" nie gardzi również mistyfikacją. Nie wszystko można powiedzieć w artykule wstępnym, nie każdą fantazję da się przemycić w korespondencjach zagranicznych, ale nigdy nie zawodzi pożyteczna instytucja „listów czytelników do redaktora". Sięgnijmy na próbę do tego ciekawego działu („Spectator", dnia 20 grudnia ub. r.):

„Sir — czytamy w jednym z listów — Pan J. F. Goodridge w numerze z 13 grudnia mówi o coraz to rozpowszechniającym się pragnieniu dowiedzenia się, czy w krajach, podległych politycznemu uciskowi Sowietów stosowane są w pewnych wypadkach „likwidacje" lub masowe mordy, a jeżeli to ma miejsce, dlaczego fakty te nie są w całości publikowane przez nasz rząd... Oczywiście, że przyjęcie takich faktów przez nasz rząd, jak długo trwały działania wojenne, mogłoby podważyć jedność aliantów, konieczną dla osiągnięcia zwycięstwa. To właśnie było niewątpliwie powodem, iż byli angielscy jeńcy wojenni, przebywający w Polsce i innych krajach „uwolnionych" przez Rosję, otrzymali po powrocie do domu surowe rozkazy milczenia o tym, co widzieli.

Z obecnego sprawozdania Ministerstwa wynika, iż w przyszłości będzie trudniej, niż dotychczas, otrzymywać wiarygodne informacje.

Pan Mc Neil w swej odpowiedzi z dnia 4-go grudnia oświadczył, iż obecnie nie mamy w Polsce stałych korespondentów, korespondenci zaś dwu czołowych gazet są w rzeczywistości obywatelami polskimi. Ta właśnie nieobecność brytyjskich korespondentów tłumaczy zapewne, dlaczego nic się nie mówi o aresztowaniu ponad miesiąc temu z górą 4.500 członków Stronnictwa Ludowego p. Mikołajczyka (z których pięćdziesięciu stanowili przyszli kandydaci na posłów do Sejmu). Wiadomo ponadto, że wszyscy trzej (?) polscy korespondenci zostali ostatnio aresztowani. Czy nie obawa przed represjami powstrzymuje innych od nadsyłania korespondencji?.."

Powyższy, cytowany w obszernych wyjątkach list nosi tytuł „Wolność czy ucisk?", podpisany zaś jest: Katherine Atholl, Brytyjska Liga Wolności Europy(!).

A oto drugi list — „Odzież dla Europy":

„Sir — Większość Twych czytelników z radością powita wiadomość, że można wysyłać paczki dla ludności głodującej Europy. Lecz ludziom w Europie jest równie zimno jak głodno; napawa nas więc niepokojem kwestia, czy zaspakajając jedną potrzebę, nie zapominamy o drugiej. Dopiero tydzień temu oświadczono w Izbie Gmin, że w samej Brytyjskiej Strefie Okupacyjnej Niemiec minimalne zapotrzebowanie na obuwie dziecięce wynosi 6,250.000 par w stosunku do wydanej dotąd liczby 1,770.000 par (t. zn. jedna para na co czwarte dziecko). Przypadkowo otrzymaliśmy kilka tygodni temu list od naszej ekipy z Aachen, w którym donoszą nam, jak opracowano tam rozdzielnik podziału wyprawek dla niemowląt — też w stosunku 1:4!

Apelujemy do tych wszystkich, którzy śpią pod dachem, którzy mają dosyć jedzenia i dosyć odzieży by nie odczuwać zimna, aby ofiarowali każdą sztukę obuwia czy odzieży, którą mogą zaoszczędzić. Paczki należy przysyłać do Przyjacielskiej Służby Pomocy (Friend Relief Service) 163 Higgate Road, London NW 5.

Wasza oddana Lettice Jowitt, Sekr. Gen. Przyjacielskiej Sł. Pom."

Nie robi na nas wrażenia ani ton pierwszego „listu", ani otwarty cynizm drugiego. Do tego zdążyliśmy się przyzwyczaić, studiując wytrwale prasę anglosaską. Imponuje jedynie mistrzowskie opanowanie rzemiosła przez redakcję londyńskiego pisma. To nie prymitywne metody „Daily Mail"! „Spectator" rozgrywa swoją grę subtelniej. Rzeczywiście, po cóż wielkie tytuły na pierwszej stronie, po cóż korespondencje, którym już czytelnik nie wierzy, a za które redakcja przyjmuje odpowiedzialność? W „Spectatorze" i redaktor jest syty, i opinia poważnego pisma cała, zamierzony zaś cel polityczno-gospodarczy osiągnięto dwoma niewinnymi „listami od czytelników".

w w

Andersiana

Z długotrwałej bezczynności wytrącił generała wywiad. Jeden z najbardziej reakcyjnych dzienników szwajcarskich „Die Tat" zwrócił się do tego miarodajnego dla pewnych czynników źródła, po wyjaśnienia odnośnie granic Polski. „Oskarża się często Polaków, że dają się zbyt łatwo unosić ślepemu szowinizmowi", rozpoczyna dziennik swój wywiad. Generał Anders, jak się zaraz okaże, będzie najlepszym dowodem, że to błąd, błąd oczywisty. Bo proszę:

„Pytamy: Czy uznaje pan, generale, obecne granice polskie? Bez wahania odpowiada poprawną francuszczyzną: **Nie, uważam, że obecna sytuacja nie daje rozwiązania. To, co Rosjanie zmusili nas do przyjęcia wzamian za oderwane odwiecznie polskie tereny wschodnie jest darem bardzo dwuznacznym. Polska nie jest zdolna „strawić" terenów poniemieckich na olbrzymiej przestrzeni aż do Odry ani z punktu widzenia rezerw ludzkich ani z punktu widzenia materialnego. Nie wierzymy ani w możliwość asymilacji pozostałych tam Niemców ani w siłę ekonomiczną Polski dla przedsięwzięcia reorganizacji terenu tak bardzo bogatego pod względem przemysłowym i rolniczym lecz tak bezwzględnie zniszczonego".**

Pan generał Anders, który nie daje się unieść ślepemu szowinizmowi, nie może strawić faktu, że tak bogaty pod względem rolniczym i przemysłowym teren został odebrany Niemcom, którzy, o! bezwątpienia, z pomocą kapitału anglo-saskiego daliby sobie radę ze zniszczeniami z punktu widzenia materialnego i rezerw ludzkich. A szkoda. Bo przecież mógłby wcale nieźle reprezentować Polskę na jakichś zawodach hippicznych jak w 1936 roku na olimpiadzie berlińskiej. Jest ponoć dobrym jeźdźcem na koniu. A on koniecznie chce — na białym koniu.

„Na nasze drugie pytanie: Jakie jest najsłuszniejsze według pana rozwiązanie? generał odpowiedział: My także jesteśmy za pewnymi modyfikacjami naszej przedwojennej granicy z Niemcami..., ale jest bezsensowne

rozciągać granice tak daleko na zachód. **Jesteśmy w tym wypadku bezwzględnie zgodni ze zdaniem anglo-amerykańskim.**

A kiedy, sądzi pan, zakończy się ten stan prowizorium? Natychmiast, odpowiada Anders, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Nie chcemy niczego, co nam się nie należy, nie chcemy niczego, co może szkodzić interesom narodu, ale w żadnym wypadku nie zrezygnujemy z zaanektowanych przez Rosjan terenów wschodnich..."

Albowiem na cóż nam bogactwa Ziem Zachodnich, które tak bardzo przydadzą się Niemcom? Na które tak bardzo liczą Anglicy? Nam zostawcie potrząsanie pałeczką i pacyfikowanie chłopa ukraińskiego na obszarniczych majątkach... Jesteśmy bezwzględnie zgodni ze zdaniem pana generała: nie chcemy niczego, co może szkodzić interesom narodu. A więc nie potrzebny jest Polsce generał Anders. Niech sobie udziela wywiadów różnym pismom w rodzaju „Die Tat". Jest ich wciąż jeszcze dosyć.

* * *

A tymczasem żołnierze Andersa mają świetne zajęcie. 8 stycznia na pierwszych stronach dzienników paryskich ukazały się tłuste nagłówki i taka oto wiadomość. Dwaj żołnierze Andersa, Bronisław Raboczek i Jan Piotrowski dokonali napadu rabunkowego na sklep jubilerski na avenue de Clichy, przy czym tak ciężko pobili właściciela, że stan jego jest groźny. Zostali schwytani przez zaalarmowaną policję. Fotografie w pismach przedstawiają dwóch młodych, może dwudziestokilkuletnich ludzi. Orzełki mają polskie na czapkach. A naigrywający się obok policjant nie orientuje się zbytnio w różnicy między Polską Andersa a Polską obecną. Ani nie zna zbyt dobrze spraw polskich przeciętny czytelnik wieczorowych pism. Do niego conajwyżej skojarzy się fakt pobicia przez żołnierzy polskich kupca o nazwisku Jakobson. Poczem wynikną niezbyt dla Polski przychylne porównania. I tylko „L'Humanite" napisze: „Jak długo jeszcze Francja będzie tolerować niebezpieczeństwo przebywania na jej ziemi żołnierzy Andersa mimo ich codziennych wyczynów?" (bo takich wyczynów jest niemało!). Ale przeciętny Francuz powie poprostu: „Ci Polacy" i zemnie jakieś przekleństwo w ustach. Generał Anders nie szkodzi interesom narodu... I potem nie pomoże najlepiej nawet działający B. I. P. (Biura Informacji Polskiej), skoro ich wielu ślicznym zresztą wydawnictwom, które niestety nie docierają za daleko, przeciwstawi się fakty. Czyny Polaków.

* * *

W IV okręgu Pryża, obok metra Saint Paul na małej uliczce Fourcy znajduje się bar polski. Tam zbierają się co wieczór liczni Polacy paryscy i przy czystej z zakąską omawiają wciąż jeszcze problem: wracać czy nie wracać. Wielu z nich nosi mundury Andersa. Nie wszyscy są faszystami. Kiedy przechodzą koło kiosku u wylotu stacji Saint Paul zatrzymują się i oglądają pisma polskie. Nowy transport przychodzi przeważnie we wtorek rano. We wtorek wieczór sprzedawca odpowiada: Il n'y a plus. Wykupione. Nie, nie wierzą w nie, bo to z kraju, ale kupują. Bo to z kraju. Ciężko jest opanować nostalgię. 8 stycznia można było dostać w Paryżu pisma polskie z początku grudnia. Ale wciąż trudno jest dostać „Przekrój", a wcale nie ma „Kuźnicy", „Odrodzenia", „Odry", tygodników młodzieżowych. Ludzie w mundurach Andersa nie pójdą do konsulatu polskiego ani do B. I. P'u, by je przeczytać, w swojej kantynie nie dostaną, a w kiosku kupią. Ale pisma z Indii czy Palestyny przychodzą tu po 4 dniach, pisma z Rosji po trzech, pisma z Czech po 2 dniach, a droga pism polskich trwa długo: 2, a nawet 3 tygodnie. A już i to służy jako propaganda. To nie są sprawy błahe. Bo ludzie tu wciąż dyskutują, czy wracać czy nie wracać, a słowo może wiele zdziałać. Jeśli zostaną dłużej spaczą się jeszcze bardziej. Jak Raboczek lub Piotrowski. A ludzi szkoda.

m m

Niepedagogiczne metody

„Dziś i jutro" zaatakowało gwałtownie młodego prozaika Tadeusza Borowskiego za jego recenzję z książki Z. Kossak-Szczuckiej „Z otchłani". „Dziś i jutro" domaga się, aby ZZLP zareagował oficjalnie na artykuł Borowskiego.

Myślę, że „Dziś i jutro" nie ma racji. Nawet najbardziej ostra krytyka książki — nie jest obrazą osobistą autora, jeśli nie zawiera obelg pod adresem człowieka, a więc kogoś wyraźnie różnego od dzieła, nawet własnego dzieła. Borowski wbrew gołosłownej i krzywdzącej insynuacji „Dziś i jutro" nie atakuje autorki „Z Otchłani" jako człowieka.

Bądźmy bezstronni! Zofia Kossak-Szczucka jest osobą bardzo szanowaną. Zyskała sobie piękną sławę z racji swego zachowania się w obozie.

Książka jej jest już czymś innym. Wolno ją rozpatrywać w oderwaniu od autora. Dla wielu ludzi może być książką przykrą, bardzo przykrą. Np. jedną z typowych tez „Z Otchłani" jest zdanie, iż z obozów uratowali się tylko ci, za których się modlono. Wiemy, że w większości wypadków uratowali się ci, za których z ich winy lub bez ich winy umarli, zdechli nieludzko inni współwięźniowie. To piszą wszyscy świadkowie: każde uratowane życie z obozu, okupywane było pogłębieniem nędzy i cierpień jakiejś ilości współwięźniów. Bez tego zginęliby bodaj wszyscy. Rozumiem dobrze dlaczego sumienie ludzkie i pisarskie Borowskiego zmusza go do gwałtownego reagowania, gdy tę okrutną **prawdę** o człowieku w obozie ukrywa się dla zbożnej legendy. Jest w Borowskim godny szacunku fanatyzm prawdy. Nie trzeba go tłumić.

Sądzę, że Z. Kossak-Szczucka zbyt jest pisarką, by była zadowoloną z obrony „Dziś i jutro". Jeśli tak młody krytyk jak Borowski postąpi nietaktownie, należy reagować na to w polemikach. Nie należy odwoływać się do środków administracyjnych. Zwłaszcza nie na miejscu jest alarm tym razem. Recenzja Borowskiego bowiem to nie inwektywy, ale po prostu inteligentne zestawienie cytat z recenzowanej książki.

Wśród młodych pisarzy Borowski zabłysnął talentem na prawdę własnym, śmiałym, drapieżnym. To trzeba dla dobra literatury polskiej ocenić. Istotą tego talentu jest fanatyzm widzenia życia bez upiększeń, brutalność, wstręt do kompromisu, moralna odraza do sentymentalnego zakłamania. Nie twierdzę, że Borowski widzi życie prawdziwie, ale każdy, czytając go czuje jak bardzo szlachetnie dba tylko o tę prawdziwość. Czyż mamy ten płomień odrazu zalać ciepłą wodą? Czy na prawdę nie groźniejszą dla literatury rzeczą jest ta lawina nijakości, miernoty, układności, epigonizmu, którą reprezentują w większości nasi młodzi i najmłodsi

Zgadzam się: Borowski ma ostre pióro. Ale trzeba to znosić. Bo okupuje to każdą napisaną stronicą.

Owszem, atakować go, polemizować, Niech się hartuje w walce. Ale nie gasić środkami administracyjnymi.

Młodych raczej ośmielać do silnych, odważnych wystąpień nawet brutalnych, aniżeli zahukiwać, odbierać odwagę, zmuszać siłą społecznych i administracyjnych środków do grzeczności. Nadzieja literatury jest tylko w drapieżnych. „Dziś i jutro" postąpiło niepedagogicznie, bez troski o młode talenty i właściwą atmosferę rozwoju dla nich.

kb.

Skargi medyków

Od jednego ze studiujących na łódzkim uniwersytecie medyków, otrzymaliśmy list treści następującej:

„Na Uniwersytecie Łódzkim otwarto nowe, wspaniałe prosektorium.

Materiału do przerobienia jest bardzo dużo, w żadnym wypadku nie wystarczą same ćwiczenia i również w domu trzeba mieć kości. Jest to warunek utrzymania się na poziomie wymagań, warunek zdania colloqium, przejścia na dalszy rok studiów. Co ma w takim wypadku zrobić student, którego budżet miesięczny wynosi akurat tyle, ile woźny pobiera za wypożyczenie kompletu kości do domu?

Za wydanie podpisanego przez Profesora indeksu, rzecz, która należy do ich obowiązków, woźni pobierają po 20,— zł od studenta. Zapewne, pobory ich są małe i mimo stołówki i mieszkania, trudno im się razem z rodziną utrzymać. Ale nie powinni zapominać, że jest cała rzesza studentów, która utrzymuje się wyłącznie z 500,— zł zapomogi stypendialnej miesięcznie, lub z równie małych kwot, zarobionych przy jednoczesnych studiach. Profesor jest rzeczywiście zajęty zorganizowaniem ćwiczeń, nie małą sprawą przepuszczenia 1.200 studentów przez prosektorium i przeegzaminowaniem ich w końcu roku. Nic więc dziwnego, że w drobnych sprawach zdaje się na woźnych.

Czy jest dopuszczalne, aby ten ich proceder zarobkowy kosztem studentów niwelował w praktyce osiągnięcia w zakresie demokratyzacji studiów wyższych?"

g. g.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
D—012747 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

JAK ZAPRENUMEROWAĆ
»Kuźnicę«
Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VI.-566 z zaznaczeniem „prenumerata Kuźnicy" oraz podać dokładny adres własny.
PRENUMERATA
łącznie z przesyłką wynosi:
miesięcznie 40 zł, kwartalnie 120 zł